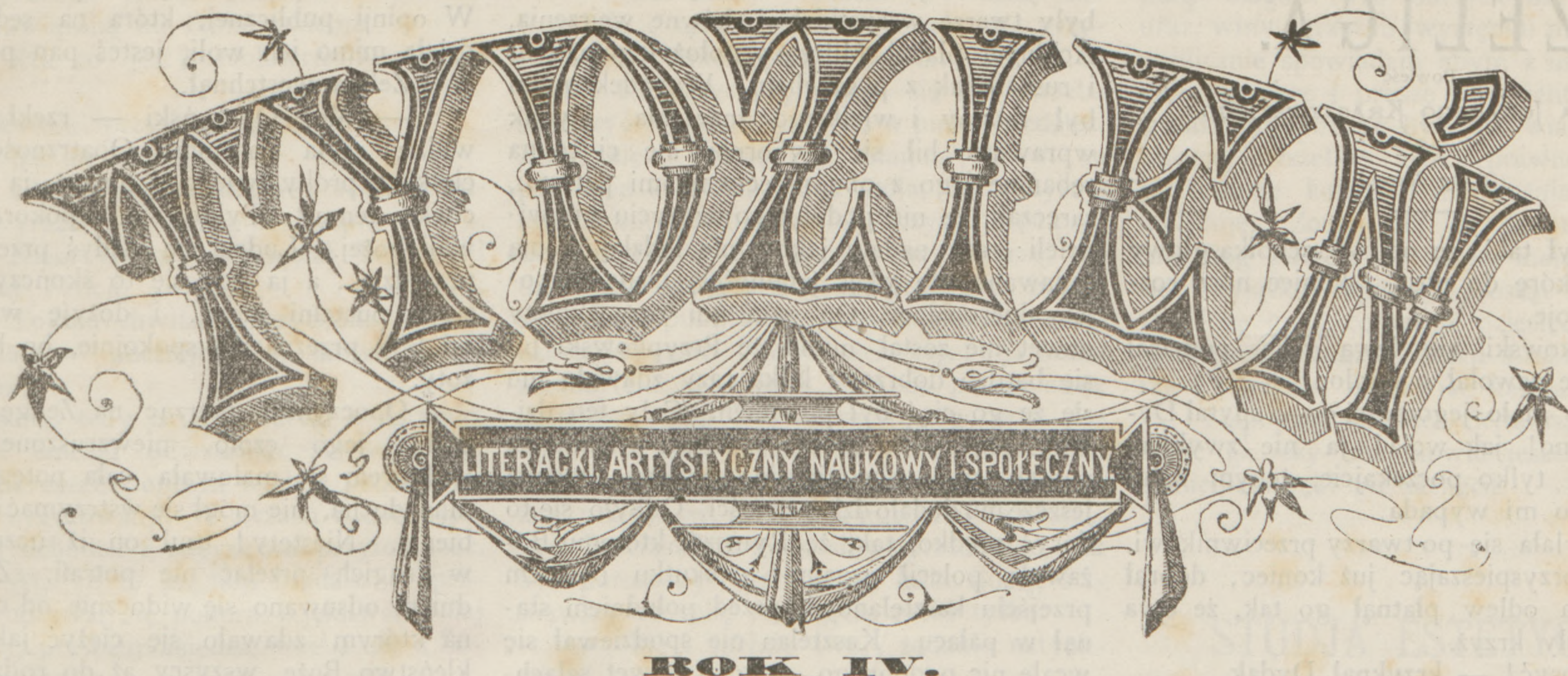
Nr. 29. Lwów, Niedziela dnia 25. Marca 1877 r. **Tom IV.**



ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcja:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracja:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

GŁOS GALICJANINA.

Jest pewien sposób wychowania, którego się często nieoględni trzymają rodzice, a który polega na tem, iż zamiast dziecko zachęcać do pracy nad sobą, zamiast w niem obudzać uczucie radości i skromnego zadowolenia z czynionych postępów, wiecznie mu się powtarza, że jest leniwe i głupie i złe i krnąbrne. Skutek bywa wręcz przeciwny zamierzonemu: dziecko zahukane, sterroryzowane, z czasem do reszty zgłupieje i zleniwieje.

Ten system wychowania przypomina nam się, ilekroć widzimy jaką metodę naprawy złego w naszem społeczeństwie przyjęli niektórzy nasi publicyści. Sądzą oni, iż najlepiej narodowi usłużą, gdy nieustannie weń wmawiać będą, że nie ma w nim iskry patrjotyzmu, iskry poczucia publicznego obowiązku. Czytając te lamentacje, zdawałoby się, że już chyba inteligentna część narodu, która jak wszędzie tak i u nas jest właściwą przedstawicielką narodowej myśli, porzuciła dawne polskie sztandary, a zamknęła się zupełnie egoistycznie w ciasnem kółku jednostkowych interesów, że z ołtarzów czci swojej zrzuciła już ową wiecznie żywą choć urzędowo pogrzebioną ojczyznę, by na nich postawić złotego cielca interesu — i że na gruzach naszego dawnego polskiego patrjotyzmu nic już nie pozostało, prócz kilku rozpłakanych proroków. Tą drogą osiąga się skutek wręcz przeciwny. Ludzie chętni do pracy i do ofiarności, którzy radziby każdej dobrej sprawie usłużyli, a możeby w danym razie i wystąpili z inicjatywą, widząc u reprezentantów inteligencji takie zwątpienie o patrjotyzmie ogółu, powiedzą sobie, iż nic się tu już zrobić nie da, iż próżno byłoby odwoływać się do uczuć dawno zagasłych, do haseł, które w żadnem już sercu nie znajdą oddźwięku. Ogół traci wiarę sam w siebie, traci ambicję, przywyka z czasem do narzekań owych lamentacyj i kończy filozoficznem zobojętnieniem. Niech sobie tam piszą! ten jest ostateczny skutek owej metody postępowania.

Nie jest ten ogół tak złym jak weń wmawiamy, ani tak obojętnym na wszystko, jak się niektórym wydaje publicystom. Można liczne przytoczyć przykłady, że kiedy się doń odezwano nie z niewiarą w jego patrjotyzm i ofiarność, nie w sposób ciskający nań kaznodziejskie gromy, że złym jest i już wskróś zepsutym, ale z przekonaniem, iż znajdzie się na dnie serc polskich zrozumienie i poczucie obowiązku, odezwanie się takie nie pozostało nigdy bez skutku. Kiedy w r. 1872 przypominając bolesną rocznicę rozbioru i przyczyny nieszczęść narodu, wezwano do składek na szkoły — o g ó ł pospieszył z prawdziwą ofiarnością; wyjątek stanowili ci, którzy mimo znacznych środków zawsze się obojętnością odznaczali, i do których niczem już nie trafisz. Cel został osiągniętym, sprawa oświaty tak dalece stanęła na pierwszym planie, iż Sejm naciskowi opinji ustąpił i uchwalił ustawy szkolne. Kiedy uznano przecie, iż najlepszym środkiem przeciw zubożeniu ludu przez wyzyskującą go lichwę, jest zasada wzajemności, i odezwano się do kraju w imię najżywotniejszych interesów przyszłości — w przeciągu lat czterech znalazło się jednak dosyć ludzi chętnych do tej pracy bardzo mozolnej i bardzo nieraz niewdzięcznej, i dzisiaj już praca ta rozporządza miljonami, a wzrost tych nieocenionych dla kraju instytucyj na tej zasadzie opartych jest nadzwyczaj pomyślnym i szybkim. Kiedy w r. 1876 wybory sejmowe wymagały wytężenia wszelkich sił, ażeby raz już stanowczo przełamać wrogie narodowi dążenia i żywioły, odezwano się do kraju w imię patrjotyzmu, w imię polskości — i cel został osiągniętym.

Nie chcemy przeto twierdzić, jakoby wszystko u nas szło już jak najlepiej. Byłaby to druga, równie szkodliwa ostateczność. Jest jeszcze wiele i bardzo wiele złego do naprawienia, wiele braków do wypełnienia, chwastów wiele do wyplenienia. Wskazywać to złe i te chwasty, i podawać środki naprawy; wskazywać owe braki i podawać czem i jak je wypełnić; wyszukiwać drzemiące w narodzie siły moralne i niewyzyskane jeszcze siły materjalne i siłom tym nadawać kierunek przez pozytywne już projekta i rady, a przedewszystkiem przyświecać własnym przykładem, pracą własną i czynem, bo bez tego wszelkie kazania i narzekania pozostaną pustym dźwiękiem bez echa. Chłostać złe, gdzie się okaże, ale nie wmawiać w ogół, że złym jest, nie pozbawiać go szlachetnej ambicji, i poczucia własnej wartości, bez której żadna nie powiedzie się praca. A przekonamy się wtedy, że jest jeszcze zawsze na dnie serc polskich ów patrjotyzm nie prowincjonalny, nie zaściankowy ani kastowy, ale prawdziwie polski, który odezwać się musi i do pracy pobudzić, jeżeli tylko siłą przykładu doń trafimy i siłą energicznego słowa, a nie narzekań niewieścich. Nie porzucono dawnych sztandarów na domowe śmieciska, chwilowo tylko jak po każdem wielkiem przesileniu i po każdej wielkiej klęsce ostygł zapał i przygasła energja w pracy ku ostatecznemu tych sztandarów zwycięstwu. Dzisiaj powraca ta energja a z czasem obudzi się i ów zapał kierowany rozumnem stosowaniem środków do danych warunków. Nie zaginęła jeszcze ofiarność i chęć do pracy, owszem z ciasnych kółek w jakie ją były na czas jakiś zamknęły poniesione moralne i materjalne klęski i utrata wielu najdzielniejszych pracowników co legli na polu walki, z ciasnych tych do niedawna kółek rozchodzi się na szersze koła, i nie będzie to optymizmem gdy powiemy, że zachęcony przykładem coraz liczniejszych jednostek pójdzie za niemi ogół — bo dobre jest tak jak złe zaraźliwem.

Więc niech nikt nie ciska potwarzy na ten ogół, jakoby w nim już polskości prawdziwej nie było — rzetelna praca i przykład dobry zdołają zawsze pociągnąć ogół za sobą i przekonać, że nasze stare „jeszcze nie zginęła!“ nie straciło nic dawnej swej mocy i uroku!

ŻELIGA.

Powieść

Józefa Ignacego Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Raz był taki, że od wierzchołka głowy przekroił skórę do nosa i koniec nosa rozciął na dwoje,

Przypkowski się lęwą ręką pomacał tylko, a nie zawołał o pardon.

— To mało jegomości? — spytał Dydak — a no! jak wola! ja nie zwykłem odmawiać... tylko poczekajcie, żebym mógł to zrobić co mi wypada.

Krew lała się po twarzy przeciwnikowi, a szlacic przyspieszając już koniec, dobrał chwili i na odlew płatnął go tak, że dwa cięcia zrobiły krzyż.

— Dosyć! — krzyknął Dydak.

Przypkowskiemu też było dość, rzucił szablę klnąc wściekły, i gdyby go nie pochwycili, z pięściami by się był może i zębami puścił na szlachcica.

Tak dokonawszy tego co nazywał wyrokiem Bożym, Dydak ukląkł i odmówił cichą modlitwę, poczem wstał, poszedł po kontusz, z kieszeni dobył onuczkę, którą szablę dobrze wyszurował, i nie zważając na nic i na nikogo i nie wdając się w gawędy żadne, kroczył do dobrodzieja, który stał przywiązany do drzewa. Mało kto uważał, iż dobrodziej był objuczony jak do drogi.

— Kochany Rymszo! — rzekł obejmując go Dydak — niech ci Bóg płaci żeś mi wygodził... nagrodę otrzymasz od tego, który sercami ludzkiemi włada. Bywaj zdrów kochanie, bo mi do domu pilno.

— Jakto... a do kasztelana nie wstąpisz? spytał Rymsza.

— A po co? — rzekł szlachcic—żeby mi jeszcze dziękował. Albom to ja dla niego zrobił! nie, dla miłości Boskiej. Bywaj zdrów, mnie tam żonisko czeka, dzieci pewnie szaleją, a w polu robota... muszę jechać, ino przez Warszawę się przemknę i do domu.

Począł tedy ściskać Rymszę, całować, i zaraz do pakunku boć trzeba było mundur do mantylzaka włożyć a kubrak przywdziać a i buty na starsze przemienić.

Przebranie odbyło się na piasku, a choć o parę kroków stali poranieni i wrzawliwie się tam krzątano i rozprawiano, już na nich Dydak nie spojrzał, swoje zrobiwszy. Nikt też go teraz bardzo zaczepiać nie myślał, i gdy na dobrodzieja wsiadł, jeden mu Rymsza rękę podał, on czapkę zdjąwszy pożegnał przytomnych i stępa sobie ruszył ku miastu.

Przypkowski dostał dwie dobre kresy przez łeb, które kości nie nadwerężyły, ale było dla szlachcica ignominią zostać w ten sposób naznaczonym naumyślnie; więcej się też tem desperował niż raną, którą mu zalepiono plastrami. Gorzej daleko było z Achingerem, bo ten był posiekany niesłychanie, ucho się mu jedno trzymało tylko na skórze, gęba kawałkami porąbana, a co najgorzej że prawą rękę całkowicie stracił, bo ją natychmiast odjąć było potrzeba i doktor bardzo wątpił czy się rana da wyleczyć przy tylu innych mniej znacznych ale zawsze ciężkich. Smętne były twarze wszystkich i dziwne wejrzenia, Achinger płakał. Milcząco położyli go na wóz i ruszyli jak z pogrzebem. Wypadek walki był fatalny i wielkiego znaczenia. Dydak wprawdzie bił się wybornie, ale ci co na rębaninę jego z obu przeciwnikami patrzyli, zaręczali, że nic podobnego w życiu nie widzieli: razy padały jakby nie ludzką dłonią zadawane ale jakąś fatalnością i siłą niepojętą kierowane. On sam ani razu tknięty nawet nie został mimo że Przypkowski bił się bardzo dobrze i kilka razy zdawało mu się że go ciąć był powinien. Cały ten dziwny pojedynek zrobił wrażenie wielkie na patrzących, a obejście się osobliwsze Dydaka jeszcze mu dodało dziwaczności. Odbyło się to dosyć prędko, tak, że Rymsza, któremu Bożawola polecił oznajmić o skutku i całem przejściu kasztelanowi, przed południem stanął w pałacu. Kasztelan nie spodziewał się wcale nic podobnego, pragnął nawet szlachcica odciągnąć od tego, zdziwił się więc mocno, gdy mu oznajmiono naprzód że z rana odjechał, a potem do niego się zaanonsował pan Rymsza.

Siedzieli ze stolnikiem w salce na dole gdy Rymsza wszedł i przedstawił się kasztelanowi.

— Przychodzę tu w imieniu dawnego towarzysza broni, pana Dydaka Bożawoli do jaśnie wielmożnego pana, abym mu zdał sprawę.

Począł tedy opowiadać szczegółowo jak się rzecz miała. Kasztelan za głowę się chwycił dowiedziawszy, ale choć nie rad spotkania, płakał z radości słysząc relację o pojedynku, ktory Rymsza opisał jak należało.

— Achinger — dodał w końcu — bodaj czy się wyliże, ręka szpetnie ucięta; a że nie chirurg z Dydaka, pono kości jednej niepotrzebnie zaczepił. Doktor źle wróży. Przypkowskiemu nic nie będzie.

— Ale gdzież Dydak? co się z nim stało.

— Pojechał do domu—rzekł Rymsza— mówiąc że mu bardzo już pilno do żony i dzieci. Pokłon tylko złożyć kazał jaśnie wielmożnemu panu i submisję znajdując niestosownem aby się sam prezentował, kiedy rzecz szczęśliwie dokonaną została.

Można sobie wystawić zdumienie kasztelana ale zarazem frasunek. W mieście bardzo różne były opinje o tem, jedni cudowności pełnem widzieli to spotkanie, drudzy utrzymywali, że szlachcic rębacz nasłany był umyślnie na Achingera przez magnata aby niewygodnego nieprzyjaciela uprzątnął.

Rzecz się więc jeszcze pogorszyła oburzeniem przeciw kasztelanowi, a pozory były wielkie bo i pan Dydak stał w pałacu i zdawał się jakby wezwany był na to by wroga zgładził. Na ucisk magnata wołano o pomstę do Boga, rozjątrzenie było ogromne. Przyszedł Opoczyński nad wieczór bardzo smutny.

— Nie taję panu — odezwał się do kasztelana — że nam fatalnie idzie, gorzej być nie mogło, pani Achingerowa uciekła, dokąd? chroni się naprzód do pana... za nią licho przynosi zawadjakę szlachcica, który męża obcina tak, że mu ledwie życie zostało... Pozory są takie, że trzeba dobrze znać was i sprawę aby nie posądzać o złe. W opinji publicznej, która na sędziów już działa mimo ich woli, jesteś pan potępiony.

Żeliga westchnął.

— Mój Opczyński — rzekł — Bóg widzi; zsyła na mnie Opatrzność krzyże ciężkie, próby wielkie, mogęż ja co przeciwko temu? Tylko się z pokorą poddać woli bożej. Ludzie się kiedyś przekonają o prawdzie... a ja gdy się to skończy zamknę się w pustelni mojej, i dożyję wieku jaki mi Bóg przeznaczył spokojnie, bo bez zgryzoty.

Opoczyński patrząc na Żeligę, na pogodne jego czoło, niewzruszone oblicze, w którem się malowała cała potęga niezłomna ducha, nie mógł się wstrzymać od uwielbienia. Niestety! czuł on iż uczuć swych w drugich przelać nie potrafi. Z każdym dniem odsuwano się widocznie od człowieka, na którym zdawało się ciężyć jakieś przekleństwo Boże, wszyscy aż do rodziny okazywali wstręt, obojętność, nieufność. Stolnik tylko pozostał wiernym i Opoczyński, który bliżej znał Żeligę. Upłynęło tak dni kilka w głuchej jakiejś ciszy; kasztelan raz tylko był w zamku gdzie z twarzy króla i otaczających go poznał, że byli stanowczo przeciwko niemu. Sprawa ta mająca obudzić różne namiętności, nie na rękę przypadała dworowi, wszyscy pragnęli aby ją kasztelan kończył, aby się opłacił. Namawiano go na to, ale naprózno. czuł się niewinnym, tymczasem oczekiwane pozwy nie wychodziły, sprawa o której tyle mówiono nie rozpoczynała się, a z wieści ulicznych i przez lekarzy wiedziano że Achinger coraz się miał gorzej. Zepsuta krew i zgryzota rozjątrzały rany. Ukazywała się gangrena, rosła gorączka.

Achinger leżał na Tłumackiem, miał przy sobie siostrę miłosierdzia, jednego z przyjaciół dawnych, ubogiego szlachcica, lekarza który dojeżdżał i Bajkowskiego, który z nim wciąż konferował. Ale przy gorączce narady już iść nie mogły.

Bajkowskiemu srodze żal było interesu, który śmierć szlachcica mogła w nic obrócić. Często też dojeżdżał na Tłumackie, dowiadywał się i kuracją rannego sam się troskliwie opiekował.

Mimo starań widocznie się pogorszyło.

Jednego ranka Bajkowski swoim zwyczajem przybył odwidzić klienta Siostra Felicja siedziała przy jego łóżku, chory spał ale ciężko i niespokojnie.

— No, a co słychać? — spytał po cichu mecenas.

— Źle, bardzo źle, w ręku gangrena się szerzy, wycinano, palono, wysypywano, nic nie pomaga.,. Jeżeli tak dalej opuchnienie pójdzie a dosięgnie piersi, nie ma ratunku.

— Cóż doktor mówi?

— Doktor nie ma nadziei.

— O! o! o! nie ma nadziei! — powtórzył Bajkowski — więc i mnie tu nic tak dalece robić nie ma.

— Ale zatrzymajcież się, chory od rana — rzekła siostra Felicja — koniecznie się z wami widzieć domaga, przebudzi się pewnie zaraz, bo sen ma przerywany.

Jakoż po chwili w istocie Achinger

oczy otworzył, jęknął strasznie i zwrócił głowę obwiązaną ku Bajkowskiemu.

— Kto to jest? Holofernes? — zapytał.

Bajkowski przywitał go.

— Jak się macie?

— Głowę mi ucięto! — rzekł Achinger niewyraźnie — okropnie cierpię.

— Nieprzytomny!—zawołał Bajkowski do siostry Felicji.

— To mu chwilami przychodzi — odpowiedziała — pocznijcie doń mówić to go oprzytomni.

Mecenas tedy z cicha zaczął o sprawie, Achinger słuchał odwracając się od niego, ustami poruszał, poprosił wody.. podano mu napój przygotowany. W oczach widać było, że obłęd uchodził i odzyskiwał przytomność.

— At, co ty mi tam bredzisz o sprawie — odezwał się ponuro i jękliwie — daj mi pokój, przyszlij księdza, trzeba się z Bogiem porachować.

Bajkowski zamilkł.

— Moglibyście przecie zdać interes na rodzinę, gdyby nawet w najgorszym razie...

— Idź precz kusicielu, idź precz.

Mecenas się zerwał.

— Znowu gorączka, przyjadę gdy będzie przytomnym.

— E! nie fatyguj się — dodał Achinger — nie ma po co... zrobi się inaczej.

Ale mecenas już nie słyszał tych wyrazów, wyniósł się z przykrem wrażeniem.

Zaledwie wyszedł, Achinger ku siostrze Felicji.

— Poszlijcie po księdza — rzekł — czuję wewnątrz za życia płomienie piekielne, pali mnie... strasznie pali...

Ponieważ niedaleko było do Kapucynów, siostra Felicja, której spowiednikiem był słynny naówczas z pobożności ojciec Serafin, posłała natychmiast po niego.

W pół godziny siedział już przy łożu chorego i cicha spowiedź trwała długo bardzo przerywana tylko łkaniem i płaczem. Wyszedł z izdebki starzec jakby złamany, uznojony, potrzebując piersią chwycić świeżego powietrza, tak go ona znużyła.

— Siostro Felicjo — rzekł — słaby cię potrzebuje, wracaj do niego.

Achinger podniósłszy się na zdrowej ręce nieco, patrzał po izdebce, szukając oczyma opiekunki.

— Moja dobra siostro — rzekł — zrób mi tę łaskę, poszlij nie tracąc chwili do pałacu kasztelana, aby do mnie przyszedł stolnik Barciński. Niech mu powie, kto pójdzie, że go wzywa w imię Boże umierający... nie powinien odmawiać.

To mówiąc padł na łoże i po chwili znowu majaczyć począł, skarżąc się że mu głowę ucięto.

Wielkie było podziwienie stolnika, gdy go wezwano pilno do jakiegoś chorego, który prosił aby natychmiast przybył jeżeli chce go znaleźć żywym. Nie mógł się wcale domyśleć ktoby to był taki, a gdy dobiegł zadyszany do owej przyciemnionej izdebki, schylił się nad łoże i poznał Achingera, aż się cofnął.

Szlachcic poczuwszy instynktowo przy sobie kogoś, podniósł się także i chwycił za rękę stolnika zdrową dłonią.

— Barciński? — rzekł — wszak tak? Barciński... sąsiad, stolnik? wszak tak! przyszedłeś do umierającego. Bóg ci zapłać. A! to dobrze żeś przyszedł... żyło się źle, trzeba skończyć lepiej.. Nie chcę w piekle siedzieć. Zlituj się... proszę cię, błagam, niech tu przyjdzie kasztelan, żona moja, ty, wszyscy, kto chce... abym odwołał, oczyścił się i prosił o przebaczenie. Ksiądz mnie inaczej nie da rozgrzeszenia i Bóg nie przepuści. Stanie się zadość publicznem odwołaniem za wyrządzoną krzywdę. Ale spieszcie się, bo ja ranka niedożyję... Puchlina idzie do piersi, czuję ją jakby wrzątek posuwającą się coraz dalej. Zaklnijcie kasztelana, niech przychodzi, żona moja także i ktokolwiek chce... Odwołam, przeproszę, może Bóg jeszcze życie ocali...

Barciński nie mógł słowa przemówić, tak był poruszony tym cudem łaski Bożej, ścisnąwszy za rękę Achingera rzekł tylko.

— Idę i spełnię twoje żądanie natychmiast.

— Sprowadź rejenta niech zeznanie spisze, chcę tego—dodał chory.

— Stanie się wedle woli.

Ciężkim był trochę Barciński, ale niecierpliwość, radość, wzruszenie, jakby mu skrzydła przypięły, porwał powóz jaki się nastręczył, poleciał w galop do pałacu kasztelana i wpadł do sali jak bomba.

— Kasztelanie — krzyknął — Bóg jest wielki... stał się cud. Siadaj ze mną i jedź, weźmiemy Bajkowskiego, Opoczyńskiego i rejenta. Achinger umiera, a umierając chce uroczyście potwarz odwołać. Prosił też, aby żona jego przybyła.

Żeliga stał niemy, ale złożył ręce jak do modlitwy.

W pół godziny gotowe było wszystko. Rejent, Opoczyński, dwóch świadków z dworu królewskiego, doktor, ksiądz; ale najgorsza bieda była z Bajkowskim, który utrzymując że chory majaczył, że nie był przy zdrowych zmysłach, jechać nie chciał. Szło zaś o to, aby i on mówić przeciw zeznaniu temu nie mógł.

— Śliczna rzecz — zawołał w ostatku mecenas, a któż mi finalnie zapłaci za trud, kłopot i koszta.

— Kasztelan — rzekł Barciński — ja za to ręczę, w ostatku jeśli waszmość chcesz to ja... starczy mnie przecież na to.

Rad nie rad Bajkowski mrucząc się zabrał.

Mała izdebka na Tłumackiem ledwie gości tych pomieścić mogła; na przodzie najbliżej łoża stał ojciec Serafin i kasztelan, w nogach drżąca wybladła, zapłakana żona, której twarz kwefem była osłonięta. Doktor dał chłodzący napój choremu. który nieco pomilczawszy tak począł:

— Biorę panów wszystkich za świadków i zeznaję niniejszem uroczyście, jak człowiek bliski chwili, w której stanie przed sądem Bożem, iż nigdy mej żonie tu przytomnej w postępowaniu jej nic zarzucić nie mogłem, jeślim to uczynił, powodowany byłem grzeszną chciwością. Przeto proszę o przebaczenie dla miłości Boga, tak ukochaną żonę i przytomnego tu kasztelana na którego rzuciłem potwarz... uznaję i przysięgam, że czystym jest od wszelkiego zarzutu, żem go pokrzywdził niegodnie i oszkalował. Z pokorą błagam was darujcie mi, zapomnijcie uraz, winy, grzechu, występku mojego, który publicznie spowiadam abym z nich był oczyszczony; chcę i proszę by rejent słowa moje spisał, aby podane były do wiadomości publicznej, wszelkie kroki prawne, wstępnie poczynione kasuję i unieważniam, niszczę i anihiluję. Żonie mej tu przytomnej, jeśli mię Bóg powoła do siebie, majątek mój cały bez wyjątku zapisuję, prosząc jedynie, aby za duszę moją corocznie dziesięć mszy świętych przed obrazem Marji Łaskawej na górze Chełmskiej odmawiać kazała...

I spojrzał na Ojca Serafina, jakby badając go czy ma mówić jeszcze; kapucyn skinieniem ręki go zachęcił. (Dok. nast.)

STUDJA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka starorzymska.

(Ciąg dalszy).

III.

Sztuka malarska najwyłączniej do wzroku przymawia. Budownictwo i rzeźbiarstwo przymawiają w pewnej mierze do innego zmysłu, który się zazwyczaj na samym końcu przytacza, i któremu się wszelkiej zdolności do odczuwania estetycznych wrażeń odmawia. Mamy na myśli zmysł dotknięcia. Sam, nie mógłby dać obrazu tak wyraźnego, aby nim wyobraźnię podrażnić, i aby nim wywołać owo złudzenie wymagające współczucia, które jest celem sztuk pięknych. Ale gdy zmysł ten wzrokowi pomoże, przyczyni się do potężniejszego o wiele podrażnienia wyobraźni — i doda nie mało pozorów rzeczywistości artystycznej ułudzie. Można namacać posąg lub kolumnę, można się dłonią przekonać, że ramię posągu okrągłe, że pierś jego bogata w drobne mięśnie — że kolumna cienka i lotna, że łuk wyniosły.

Grecka architektura była ze wszech stron namacalną. Zdawało się widzowi, że jej czar był zupełną prawdą, i że w niej nie było ułudy. Rzymska udawała i kolumny i architrawy — ale i te kłamstwa były przynajmniej do połowy plastyczne i namacalne, choć każdy prędko dostrzegł, że są nieprawdą.

Rzeźbiarstwo nie ze wszystkiem łudziło oko. Wzrok odczuwał uczucia światła i cienia znane mu z życia, ale nie dostrzegał barwy. Było to coś podobnego do tego, co się dzieje na rysunku lub rycinie.

To złudzenie nie dość silne zostało spotęgowane namacalnością. Nie potrzeba aby posąg w samej rzeczy uległ dotknięciu. Gdy się oko przekona, patrząc ze stron wielu, że i ręka się dotknęłaby rzeczywistego posągów ciała — złudzenie powstaje — i to jedno z najpotężniejszych w całej dziedzinie sztuki. Gdzie dwa zmysły czemu równocześnie świadczą, trudno ich świadectwu nie uwierzyć. Trzeba przyznać, że się widzi przed sobą kształty niekłamane.

Malarstwo łudzi rzeczywiście. Ono tylko odtwarza światła, cienie i barwy takie, jakie się z pewnego stanowiska przedstawiają. Nie posiada nieprzezwyciężonych pozorów prawdy, i każdy

*

wie, że postaci na obrazie nie namaca. Ale barwa może za to oko samo silniej łudzić.

Co rzeźba przedstawić może, to może przedstawić i malarstwo, choć może mniej doskonale. Ciało ludzkie i zwierzęce może być wyobrażone za pomocą pędzla; — za pomocą dłuta mogą być odtworzone. Wyobrażenie jest czemś mniej doskonałem od odtworzenia, ale malarstwo posiada zato zdolność przedstawienia rzeczy, o których się rzeźbiarzowi nie marzy.

Nie opuszczając Rzymu starożytnego i nowo wykopanych miast pod Wezuwiuszem, przekonamy się o tem.

Są w Rzymie sale należące niegdyś do Liwii, żony cesarza Augusta, a odnalezione przed niewieloma laty. Ściany tych sal ponajwiększej części pomalowane czerwono, ale widać i obrazy, malowane na ścianach, jak to mówią „al fresco.“

Każde malowidło na karczemnym suficie jest lichym „al freskiem.“ Gdy barwy lepiej dobrane, gdy kształty życia lepiej uchwycone, gdy misterne przejście z światła w cień, i z jednej barwy w drugą bardziej uwzględnione, staje się al fresk dziełem sztuki — skoro dość silne budzi złudzenie by wywołać prawdziwie współczucie. Otóż malowidła ścienne w domu Julji były dziełami sztuki, i to sztuki delikatnej i misternej.

Obrazy te są różnej treści. Na jednym widać wielką nieskończoną masę wody, gubiącej się w dali, wśród której stoi naga do skały przywiązana dziewica. Dziwna poczwara wychyla się z morza, a mąż w pół nagi ale zbrojny ciągnie dziewicy na odsiecz.

Przedmiot to, którego by nie można wcale za pomocą rzeźby przedstawić. Jak tu najpierw przedstawić nieskończoność wodną i morze? Możnaby z resztą udać zagięcie fali — ale nikt by nie uwierzył pomarszczonej marmurowej masie, mówiącej o sobie, że jest wodą. A potem dalekość morskich brzegów, nieskończoność jego przestrzeni, spotykanie się wody z niebem nie dadzą się zupełnie za pomocą dłuta wyrazić. A gdy kto odmaluje trochę poniżej intensywniejszy, a trochę po wyżej bledniejący błękit, i gdy tu i tam mądrze i światła i cienie rzuci, stworzy podobieństwo morza. Podobnież malarz tylko nakreśli długie brzegi gubiące się w sinej dali.

Przedmiot tu odmalowany, jest uwolnieniem Andromedy przez Perseusza, i tak odmalowany, że nie potrzebuje dalszego komentarza. Morze i poczwara w morzu zatopiona wyjaśniają wszystko, a to właśnie rzeczy, których nie można rzeźbić.

W innej komnacie, popod sufitem wykonane na długich pasach maleńkie obrazki, na których widać dokładny obraz codziennego życia rzymskiego. Tu postacie, bardzo w miniaturze, wszystkie na pierwszym planie, tak jakby je można wyrzeźbić. Mimo to odmalowano je tylko. A przyczynę tego należy szukać w estetycznych wyobrażeniach starorzymskich.

Rzeźbiarstwo pracowało w kosztownym materjale, w wielkich widnych rozmiarach i na wieki. Ono tedy mogło i musiało być przeznaczonem do uświetnienia Romy, i do uwiecznienia jej potęgi. Kiedy Rzymianin wspaniały gmach stawiał, myślał że stawiał na wieki. Wierzył silnie i niezłomnie, że ojczyzna jego wieczną, że nieprzeminie z oblicza ziemi, i myślał, że przyszłe Rzymian pokolenia będą czerpać nauki o przodkach z napisów wykutych na gmachach, i z posągów i płaskorzeźb, co były niejako wieczną ilustracją do wiekuistych napisów.

Malarstwo miało przeznaczenie o wiele skromniejsze. Choć nawet artystę jednakowo płacono, obraz alfresco kosztował o wiele mniej od posągu. Materjał nie kosztował tu prawie nic. Robota szła nadzwyczaj szybko, i nie wymagała wytężenia sił fizycznych. Dość popatrzeć na stare obrazy zdjęte ze ścian domów Pompejańskich, aby wiedzieć, z jaką szybkością pracowali ówcześni Rzymscy malarze. Jeden obraz malowany tak jak drugi. Wszędzie osobistość malarza znika poza nadzwyczaj wyrobioną szkołą, w której każde pociągnienie pęzla tradycyjne. Szaty wszędzie fałdują się jednakowo, jednakowe wszędzie poruszenia, jeden typ piękności, jedna dość głucha gołębia gama kolorów. Wszędzie użytek barwy jawi się najwyraźniej w oczach, które jaśnieją dziwnie słodkiem światłem, i w wielkiem użyciu słodkiego i podobnie jak cała gama barw przygłuszonego światłocienia. Nie widać nigdy postaci oświetlonej pełnem słońcem; wszędzie kolory zeszły się w mniej jaskrawe kontrasta, tak jak się to dzieje w cienistym pokoju, albo w letni dzień pochmurny. I to się nie zmienia, i wtedy, gdy niebo pogodne jaśnieje u góry. Cienie niewyraźne rzucone wielkiemi śmiałemi masami — a barwy białej zarówno i czarnej nie spotkasz głębszych cieniów i widniejszych świateł. Obok barwy cielistej widać wszędzie najwięcej barw mniej pewnych, mieniących się w różnych odcieniach między zielenią traw a błękitem nieba; — barwy te unikają prawie zupełnie jaskrawo żółtych i czerwonych błysków, a wpadają natomiast często w miękki fiolet.

Jest tu tedy nadzwyczaj wybitna szkoła, jest prawie rzemiosło, które starannie unika śmielszych zadań, i umożliwia szybkie a zawsze prawie poprawne malowanie. Trafią się błędy rysunku, trafią się niejasne kompozycje, ale koloryt zawsze zrobi to samo miękkie wrażenie. Oko zawsze widzi po wielkiej części nagie ciała odbijające się o niebieskawe tło, co tworzy miły nadzwyczas kontrast, przygłuszony wszędzie rozlanym cieniem. Najtańszemi środkami kupiona rozmaitość kontrastujących barw, w jedności pół cieniu.

Taka sztuka była stworzoną na to, by zdobić wnętrza domów. Nie krzyczała barwami, nie budziła jaskrawością, trwała względnie krótko, a powstawała prędko i tanio. Więc i przedmioty obierała sobie łatwiejsze, najczęściej rodzajowe, rzadziej może mitologiczne, ale prawie nigdy heroiczne.

Typ piękności zawsze ten sam, układ taki sam, przedmioty zawsze podobne — a wszystko razem dowodzi, że sztuka malarstwa, nieświadoma własnych środków i własnego zakresu, trzymała się formuł właściwych rzeźbiarstwu.

Postacie, tak nagie jak i udrapowane przypominają Praksytelesa, tak delikatną choć piękną budową, jak spokojnym co najwięcej rzewnym wyrazem szczęścia. Rysy niczem nie zburzone, a tylko w oczach ześrodkowany wyraz cały.

Każda postać rysowana poprostu i naturalnie, tak jak ją narysować najłatwiej. Żaden członek nie wychodzi z obrazu, nie ma skróceń, niemasz żadnego zuchwalstwa. Postacie stoją prawie zawsze w jednym rzędzie, tak jak na płaskorzeźbie, na pierwszym planie, i są jakby namacalne, a o wiele mniejsze od wielkości naturalnej. Prawa malarskiej sztuki manifestują się w tem tylko, że uwidoczniono zawsze lepiej otoczenie osób przedstawionych, i że odmalowano w głębi, czy to ściany budynków, czy to jakiś niby wieczorny krajobraz, na którym i świątynie i kląby drzew rozrzucone.

Dla nas te malowidła nic nowego nie przynoszą. Dowiadujemy się z nich tylko, że starzy nie byli nieczuli na czar oczny, i że uznawali piękność i w codziennem życiu Zresztą obrazy te wszystkie przypominają najwięcej pewną chwilę w sztuce greckiej, w której za wdziękiem przedewszystkiem szukano. One nie rzymskie wcale duchem, ale i o prawdziwem greckim malarstwie nie możemy sobie z nich wyrobić wyobrażenia. To sztuka dekoracyjna tylko, której przeznaczeniem było w wnętrzu domów mile oko bawić.

Stąd to często sztuka owa zabawiała się w bezmyślny flores, w którym rada już posługiwała się i jaskrawszemi barwami. Te floresy czasem nadzwyczaj wdzięczne, jeźli ludzkie postacie w arabesk wplatają. Są to czasem tak zwane lunety, kółka, w które pojedyńcze młodziuchne główki wmalowano. Główki jaśnieją oczyma, i z oczu tych patrzy cała nieskończoność życia, uczucia i nadziei. Czasem lotność doprowadzona do miary niemożliwej w rzeźbiarstwie. Postacie bujają w powietrzu. Obrócone do nas twarzą są w postawach tanecznych, ale tańczą po powietrzu nie dotykając się ziemi stopami. Ruch rąk i falowanie jaskrawych szat jakby wiatrem porwanych, świadczą o płynnym, śpiewnym, lecz szybkim ruchu Wszystkie proporcje trochę dłuższe jak w naturze, ale zresztą postacie te dziewczęce idealnie piękne. Są to nikłe a jednak boskie widziadła. Podziwiamy je, czujemy, że nieśmiertelne i wieczne, szczęśliwe — a jednak myśmy jakoś od nich możniejsi. To cuda i cacka, to ostatnie słowo czarodziejskiego wdzięku.

Czasem znowu sztuka ta ornamentacyjna pospolicieje, malując arabesk, albo w najlepszym razie girlandę kwiatów albo półmisek ryb czy owoców. Rzeźbiarstwo nie zniży się do takich przedmiotów, by się nie stać tokarskiem rzemiosłem. Tu życia zbyt mało w formach, aby te formy mogły być przedmiotem szuki. Lada zręczność może podobne rzeczy odtworzyć. Przeciwnie malarstwo może się i w tem jeszcze lubować. Barwy dziwnie się mienią na każdym przedmiocie, cienie dziwnie się krzyżują. Wzmagają się raz, drugi raz gasną, na krągłej powierzchni jabłka, na gibkiej powierzchni rośliny. I natura zadaje malarzowi ciekawe zadania. Cień pada często na barwę co z natury jaśniejsza, a barwa z natury ciemniejsza oświetlona.

Chodzi tedy artyście o to, by wszystkie owe optyczne czary odgadnąć i oddać. Potrzeba do tego i zmysłu nie mało, nie mało cierpliwości. I rozum widza się cieszy śledząc na obrazie każdą barw odmianę, którą trudno schwycić wśród natury, gdzie żadne światło nie potrwa chwili na miejscu. Widz dobrze odmalowanego jabłka lepiej wejrzy w jedną z tajemnic przyrody — a przedewszystkiem dozna miłego uczucia, widząc że człowiek może być tak zręcznym i tak cierpliwym, że owe odcienia i odbłyski tysiączne schwycił na gorącym uczynku.

Gdzie o malarstwie starorzymskim mowa, tam przychodzi z konieczności na myśl i mozajka. Ona bo rozgospodarowała się na dobre w Rzymie, i odgrywała tamże rolę malarstwa monumentalnego. Rzymianie lubili gmachy zdobne i to zdobne kosztownie, i przyczepiali w sposób nieorganiczny do swoich krągłych murów wszystkie wymysły budownictwa Greckiego. Nic innego,

jak tylko rozmaitość nie stanowi zdolności. Ona czyni zadość potrzebie rozumu, przedstawiając oku wiele różnorodnych przedmiotów. Gdy ta zdolność w jedność ujęta, staje się pięknem, a to piękno wzmaga się, jeźli oko w każdym szczególe myśl i cel dostrzeże. Kłamliwa sztuka rzymska nigdy do tego najwyższego ładu architektonicznego nie doszła, a lubując się przedewszystkiem w bogactwie, zbyt często nawet o jedności zapominała. (Dok. nast.)

Z przeszłości cechów w Polsce

przez

FRANCISZKA KSAWEREGO MARTYNOWSKIEGO.

(*Dokończenie.*)

Nie podobna nam tutaj zapuszczać się dalej w ową kwestję — jej samej wypadło by osobną rzecz poświęcić. Co się tyczy nabywania cechowych zbroi i uzbrojenia, spełniało się ono bądź przez zakupno, bądź przez obowiązkowe dary, przydzielane najczęściej do udzielania prawa miejskiego. Jak A. Grabowski zapisuje w Skarbniczce (str. 194—195) nietylko mężczyźni w Krakowie sposób do życia prowadzić chcący obowiązani byli przyjąć miejskie i opłatę należną do kasy miasta wnieść. ale ustawie tej podlegały i kobiety, które jakiemkolwiek zarobkowaniem zajmować się chciały. Tak było w Krakowie, tak i w innych miastach. Widzimy też „r. 1436 Katarzynę, żonę Andrzeja garncarza, która przyjęła miejskie i zamiast kuszy (balista) dała kopę". Wincenty Barsotti de Lucca Italus kupiec, dał za miejskie r. 1626 muszkiet, kamień prochu i flor. 225; roku zaś 1630 Jan Stefan Pusterla Venetus zapłacił za prawo miejskie 100 czerw. złot. à flor. 5 i pół, co czyni florenów 550, oprócz tego dał dwa muszkiety i dwa kamienie prochu. Część takiej zbroi zostawała w ogólnej zbrojowni miejskiej, a część dostawała się cechom.

Mało jednakże liczyli cechmistrze na tego rodzaju nabytki, ale za brackie pieniądze zbroili swoje bramy i baszty, nad czem i rada miejska czuwała. Jakoż r. 1408 postanawia rada miejska miasta Lwowa, aby każdy cechmistrz z każdego cechu i kosztem tegoż sprawił po jednej maszynie do rzucania strzał i pocisków z murów miasta. (Zubrzycki Kronika miasta Lwowa str. 75.) Iglarze znowu krakowscy r. 1538 sprawiają zbroję na dwóch pachołków i dwie halabardy „panu Bogu na cześć i na chwałę, królowi Zygmuntowi I i panom królewskim ku czci, a cechowi ku pożytku". (A. Grabowski. Dawne zabytki miasta Krakowa str. 184) W jakiej zaś pieczy chowana była cechowa zbroja, przekonywują nas częste wydatki na jej restaurację łożone po różnych miastach, przekonywa nas i ta okoliczność, że r. 1522 zapadła w cechu krakowskich iglarzy uchwała, iż „gdyby który mistrz zbroję lub inny sprzęt cechowy uszkodził lub oszpecił, winien będzie kary dać do cechu wosku funt, i prócz tego naprawić swoim kosztem". (ob. Ambroży Grabowski. Dawne zabytki miasta Krakowa str. 184).

Opatrzone tedy należycie w różnego rodzaju zbroje i uzbrojenia bramy i baszty miejskie — czekały tylko sposobności, aby hardo czoła swoje postawić w obec nacierającego ze wszystkich stron nieprzyjaciela. Rzadko się one ulękły rozbestwionej tłuszczy najezdnika, zwykle też nieprzyjaciel dla siebie śmierć u ich stóp znajdywał, a wrogie tarany i pociski, kruszyły się o ich piersi kamienne...

Nie było wtedy żartów, kiedy na wieść o zbliżającym się nieprzyjacielu uderzono na alarm we wszystkie dzwony miasta. Dzwony i kotły miedziane zawodzą bojową muzykę, głoszą bliskie a straszne niebezpieczeństwo życia i mienia, więc kto może broni podołać, spieszy co żywo i biegnie bronić murów ojczystych. A całe miasto, domy i ulice, wieże i dachy zmieniają się na obronne stanowisko. Ruch zapanował powszechny, trwoga przejmuje wszystkich mieszkańców — więc wszyscy z okrzykiem hurra na nieprzyjaciela! oddają się pod komendę przywódców. Zostawmy na uboczy dzielnych obrońców domostw i ulic średniowiecznego miasta, niech pachołkowie miejscy gromią nieprzyjaciela pod rozkazami swego rotmistrza, — my tymczasem spojrzymy w stronę baszt i bram grodzkich, kędy się rzemieślnicza rzesza tak skwapliwie garnie...

Te ręce, które przed chwilą toporem lub szydłem pracowały na potrzeby społeczeństwa; — obecnie robią orężem, jakby do niego oddawna przywykły, a stalowa zbroja co zawisła na piersiach rzemieślnika, dziwnie marsowej czyni go postaci. Wszędy, gdzie tylko zagraża większe niebezpieczeństwo, tam zaraz się pojawia starszy cechowy z buzdyganem lub znakiem regimentarskim w ręku, daje umiejętne rozkazy, i własną pierś nadstawia nieprzyjacielskiemu pociskowi. To też patrząc na ową kurzawę bojową, widzisz na wszystkich punktach zwijającą się rzeźko dziatwę rzemieślniczą, której z całą energją przewodzi pan cechmistrz lub jego zastępca. Walka namiętna, i szczerze w obronie mienia, żon, dzieci i rodziny podjęta, więc nie ma czasu do stracenia, nieczuć i niedostatku wyczerpanych nabojów. Guzik oderwany od odzienia zastąpi najlepszą kulę ołowianą, pobije najezdnika, podobnie jak pobił w Krakowie moskiewskiego jenerała Panina za konfederacji barskiej...

To też i bój niedługo się kończy, nieprzyjaciel energicznie odpierany ustępuje w nieładzie, miasto otrzymuje plac boju. W Poznaniu np. po wypędzeniu Szwedów r. 1655 bractwa i cechy uzbrojone, dokazały prawdziwej waleczności w rozpędzeniu oblężenia, sprawionego przez skonfederowane wojsko pod znakiem Żyromskiego, która się domagała na mieszkańcach znacznego okupu... A taki odwieczny Sieradz, Sandomierz, Czersk, Kalisz i wiele innych grodów, ileżby nam to mogło naopowiadać podobnych historyj, świadczących o dzielności i nieustraszonem męstwie rzemieślniczej braci... Albo ileż to znowu razy broń i zbroje miejskie i cechowe zasilają wojska koronne? Sam Lwów mógłby nam tu wiele za sobą przemówić. Stąd też zaprawieni rzemieślnicy średniowieczni w częstej obronie siedzib i rodzin własnych — nie dali się zawstydzić w powszechnej okazji bojowej nawet wojownikom z rzemiosła. W czasie np. oblężenia Połocka za Zygmunta III, prosty kotlarczyk, rodem ze Lwowa, Walenty Wąsik sam jeden mimo gradu pocisków pali nieprzyjacielski zamek, za co zyskuje od króla szlachectwo z nazwiskiem Połoczyński.

Te kilka rysów chwyconych z życia cechów, zdaje nam się mówią dosyć wyraźnie o znaczeniu korporacyj rzemieślniczych w społeczeństwach średnich stuleci. Cechy rozwijające się na zachodzie i południu Europy na zasadach prawa magdeburskiego i u nas na takimże gruncie urosły, tem bardziej, że prawo magdeburskie było podstawą ustawodawstwa i przywilejów miast polskich, więc im wielce sprzyjało. Nadto korporacje rzemieślnicze wskutek centralizacyjnego charakteru i wspólnych dążeń w zdobywaniu dla siebie społecznej niezawisłości, zostawały ze sobą w ścisłym związku, do czego przyczyniały się nader owe znane nam już wędrówki rzemieślnicze zastrzeżone ustawami cechów.

A że przy silnem zorganizowaniu się i sumiennem pojmowaniu swego zadania, stan rzemieślniczy wyrobił sobie niezależne stanowisko finansowe, — naturalnem więc jest, że wszystkie te przymioty razem wzięte utworzyły z cechów nader silny i częstokroć niebezpieczny czynnik państwowy. Dla feodalnych zwłaszcza stosunków zachodnio-południowej Europy, cechy stanęły wielce niebezpieczną przeciwstawnią porządku i społecznego ładu. One same najwięcej się przyczyniły do wywrócenia feodalizmu. Zdarzyły się miasta, w których rachowano tysiącami majstrów jednego cechu (Surowiecki o upadku miast): w samem Lowanium liczono na początku XIV wieku 4.000 majstrów, a 15.000 towarzyszów czyli czeladników cechu sukienniczego. Podobne cyfry statystyczne przekazują nam inne średniowieczne miasta, których cechy tak były zamożne, że posiadały swoje własne zbrojownie, szpitale, magazyny i. t. p. Stąd znaczenie ich i powaga doszły do tego stopnia, że wyższe warstwy społeczeństw Europy ubiegały się o zaszczyt należenia do cechu. Uwzględniwszy okoliczność, że tak pomyślny stan cechów rozwinął się tylko na zasadzie rozumnej wewnętrznej organizacji, zrozumiemy łatwo, że korporacje rzemieślnicze musiały silnie oddziaływać na zmianę pojęć i starego porządku rzeczy, że ludność nierzemieślnicza musiała dążyć do ich naśladowania, a panujący i książęta brać wzory z ich życia do zorganizowania swoich dzierżaw

Podczas, gdy wiejska ludność żyje w poddaństwie, a nierzemieślnicze stany zależą najczęściej od woli panujących i rządu, bez względu jakim on jest dla nich, wtedy cechy potężniejszych miast obalają istniejący porządek rzeczy, wywracają urzęda, a natomiast zaprowadzają nowy dla siebie korzystny ustrój społeczny, który jednocześnie oddziaływał silnie i na pozamiejskie okolice. Tak np. w Brunszwiku wzburzone cechy wywieszały cały magistrat, z kilkunastu osób złożony. W Magdeburgu spaliły żywcem dziesięciu radnych. Podobne sceny wyprawiane przez cechy działy się w Gdańsku, Toruniu i wielu innych zamożnych naszych miastach, a krwawy wypadek jaki się zdarzył w Krakowie za Kazimierza Jagiellończyka pomiędzy Janem Tenczyńskim a płatnerzem tamtejszym, najlepiej wyjaśnia poczucie siły i osobistej godności rzemieślników Krakusowego grodu.

Nie można powiedzieć, żeby panujący tak zagraniczni jak i nasi nie widzieli w rozwoju i potędze cechów groźnego bardzo czynnika państwowego, nie mogli go jednak pokonać stanowczo. A zresztą widząc w korporacjach rzemieślniczych rzeczywisty cywilizacyjny pierwiastek, oraz siłę materjalną i społeczną, patrzyli się częstokroć przez szpary na ich wybryki rozliczne, tem bardziej, że nieraz im się przychodziło opierać na tej sile przeciwko rozwielmożniającemu się na niekorzyść monarchji możnowładztwu szlacheckiemu.

Pomimo też, że zuchwałość i nalegania szlachty na zniesienie cechów, z obawy, ażeby się one nie stały in detrimentum libertatis

terrestris zniewalają Władysława Jagiełłę r. 1420 do wydania surowego wyroku znoszącego w państwie wszystkie cechy, który to wyrok potwierdzają: Jan Olbracht r. 1496, Zygmunt I. r. 1538, i 1543, Zygmunt August w r. 1550, i wielu innych panujących; mimo to wszystko jednak ciż sami królowie nie przeprowadzają energicznej egzekutywy owych wyroków, ale patrzą jakby zupełnie obojętnie na dalszy rozwój cechowych korporacyj. Co więcej, ciż sami królowie, którzy wydają surowe nakazy rozwiązania cechów, jednocześnie potwierdzają stare i wydają nowe przywileje dla mnóstwa korporacyj rzemieślniczych, że tu wspomnimy Zygmunta I, tak wyraźnie zaznaczającego się w tym względzie. Wreszcie chociaż istniały królewskie wyroki znoszące cechy — konstytucje z lat 1611, 1659, 1768, i 1776 popierają prawa i przywileje owych korporacyj. Pokazuje się więc, że jakkolwiek cechy miały wiele stron ujemnych, przemagała w nich jednak strona dodatnia, która je podtrzymywała przez liczne stulecia, aż same nie upadły, pod wpływem nowych pojęć i nowych cywilizacyjnych stosunków.

Koniec.

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom trzeci.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VI.

Co się wydarzyło pod jodłami i co tam pozostało.

Ramirez nie był tak szczęśliwy w wykonaniu swej zemsty, jak to sobie z góry wyobrażał. W chwili zawziętości podpalił on swą minę i wskutek tego stał się zupełnie bezsilnym. Gabryel widocznie nie doznał napadu osłabienia ani niemocy, nie był też złamany ciężarem odkrycia podstępu i oszukaństwa swej żony. Ramirez owszem—o ile sam mógł sądzić ze spokoju z jakim Gabryel przyjął jego zeznania — był w wątpliwości czy Gabryel w ogóle pomyśli o tem, by żonę swą do odpowiedzialności pociągnąć.

Z drugiej strony Ramirez w sposób wcale nie pocieszający przekonał się o fakcie, że odkrycie oszustwa w znacznym stopniu ucierpiało na swej wartości i ważności przez to, że wymuszone było przy zastosowaniu gwałtu i nacisku.

Najgorszem było to, że utracił możność zastraszania pani Conroy groźbą wykrycia jej oszukaństwa. Zadając cios w ciemności, nie mógł nasycać się ani widokiem przestrachu swej ofiary, ani też wykazaniem własnej swej osobistej potęgi.

Do tych dręczących uwag przyłączyło się jeszcze straszne podejrzenie względem hiszpańskiego tłumacza Perkinsa. Co do Gabryela, to Ramirez czuł dla niego tylko pogardę, jaką czuje każden nieuprawniony kochanek ku uprawnionemu mężowi; gdy tymczasem względem Perkinsa uczuwał ową dręczącą wątpliwość, którą każdy uprawniony uczuwa ku każdemu innemu mężczyznie, wyjąwszy męża. Czy oba nie zapędzą tej kobiety w objęcia innego? Ramirez mierzonemi krokami chodził po małej sypialni w Grand-Hotel Conroy gryząc się tem, ze tyle łotrowstwa zmarnowało się i przepadło.

Niech co chce stanie się, on musi widzieć ją i to zaraz, wypowie jej, że podejrzywa ją o stosunki z tym tłumaczem; powie, że on to pisał list bezimienny... że on koncesję sfałszował... że...

Pukanie do drzwi znowu go oprzytomniło. Zaraz potem drzwi otworzyły się i przed nim stanęła Sal, wstydliwa, skromna i pewna siebie. Widoczne wzruszenie młodego cudzoziemca miało w pojęciu Sal jedną tylko przyczynę — rozpaczliwą, zgubną namiętność ku niej samej.

— Objad już przeminął od godziny, rzekła lekkomyślna dziewica, ale odłożyłam na stronę jedno i drugie dla pana. Wczoraj w nocy wypytywał się pan o Conroy. Mogę powiedzieć panu, iż Gabryel był tu i dowiadywał się o adwokacie Maxwellu, który wyjechał do Sacramento.

Ale Ramirez nie miał teraz czasu myśleć o Gabryelu.

— Powiedz mi pani, panno Clark, zapytał z grzecznością — co to za jeden ten senor Perkins.

— Ten suchy przejrzysty kościotrup, który wygląda jak przenicowany surdut? zapytała Sal, ten chłop, którego śmiertelnie nie cierpię? dodała z czułem niewieściem napomknieniem, ażeby w Ramirezie nie wzbudzić obawy, iż ma współzawodnika, nic nie wiem o nim i nie wiele się tem martwię. Od rana nie był tu. Sądzę, że wałęsa się gdzieś koło Conroy-Hill. Kazał spakować twe rzeczy i dziś w nocy oddać je do pocztowego powozu odchodzącego do Wingdam. Może pan z nim jedzie?

— Nie, odrzekł krótko Ramirez.

— Najpiękniej przepraszam za to pytanie; ale widząc że zamawia dwa miejsca, sądziłam, że panu znudziło się między prostymi, niezepsutymi górnikami i chcesz odjechać w jego towarzystwie.

Przy tych słowach rzuciła pełen wyrzutu wzrok na Ramireza.

— Dwa miejsca zamówił? powtórzył Wiktor; a! może dla damy... co, panno Clark, może dla damy?

Sal natychmiast przybrała taką postawę jak gdyby domyślała się czegoś nieprzyzwoitego.

— Damy? o, tak! dość mu rozkazać by dama wskoczyła! W samej rzeczy! Chciałabym wiedzieć jakby dama mogła się zachować, gdyby wypadło jej jechać z kimści podobnym. Ale pan nie wyjdzie przecie nie zjadłszy objadu, który tam czeka w piecu? Nie? no, no! panie Ramirez! pan musisz być zakochany. Słyszałem, że tacy ludzie tracą apetyt; co do mnie, to nie mogę mówić o tem z doświadczenia..

Ale nim Sal uzupełniła swe wyjaśnienia, Ramirez wybąkał na prędce kilka słów z przeproszeniem, schwycił za kapelusz, i szybko wybiegł z pokoju.

Zasmuciwszy tym sposobem Sal po raz drugi zawodem co do wpływu jej kokieterji na wrażliwą włoską naturę, pośpieszył Wiktor, wśród ogromnego gorąca i kurzawy wznoszącej się z pod kół przejeżdżających wozów, raz jeszcze w okolice Conroy-Hill i zatrzymał się dopiero na szczycie wzgórza. Tu stanął, by zebrać rozpierzchłe swe myśli, by ułożyć stanowczy plan dalszego postępowania i powstrzymać gwałtowne drżenie powiek, wynikłe ze wzruszenia i wysilenia, tudzież by obetrzeć spocone dłonie.

Musiał widzieć się bezwłocznie, ale jak i gdzie?

Gdyby śmiało wszedł do jej domu, to mogłoby się zdarzyć, że znajdzie ją z Gabryelem, więc nic nie zdoła zrobić. Jeżeli przejrzy wszystkie krzaki aż do jej domu, to prawdopodobnie spotka ją na drodze do miasta, lub też znowu rozmowę podsłucha. Jeżeli tu będzie czekać, to uniemożebni każde spotkanie przed domkiem Gabryela leżącym na prawo, a jednak będzie w stanie dostrzedz zbliżanie się każdego od strony drogi.

Miejsce, które sobie obrał, było — rzecz dziwna — ulubionem miejscem Gabryela, na którem często oddawał się on popołudniowym rozmyślaniom, paląc fajeczkę. Wielka jodła, największa ze swych towarzyszek, śmiało wznosiła się w górę na małej polance po prawej stronie, jak gdyby uciekła tu szukając samotności. Wiktor, posłuszny jakiejś tajemniczej sile pociągającej, poszedł ku niej i usiadł na jednym wystającym z ziemi korzeniu.

Tu zaszedł wypadek, który zrazu napełnił go przesądną trwogą. Chustka do nosa, którą twarz sobie obcierał, wydała mu się jak gdyby krwią poplamiona. Po chwili przekonał się, że takie do krwi podobne zafarbowanie pochodziło od prochu z czerwonych cegieł, wśród którego pędził tu, a który rozmięszał się z potem na jego twarzy.

Słońce powoli przechylało się. Długie cienie od Ridge-Reservoir układały się na Conroy-Hill jak gdyby chciały poobalać wysokie jodły, które jeszcze przed chwilą błyszczały w czerwonem słonecznem świetle. Oddźwięki ludzkiej działalności zwolna przycichały na dole w mieście; dochodzące zdaleka pogwizdywania woźnic na drodze ku Wingdam stawały się coraz rzadszemi. Jeden za drugim znikały czerwone otwory pomiędzy drzewami na wzgórzu, jak gdyby matka przyroda zamykała swe okna do jutra.

Z wrastającą ciemnością odzyskiwał Ramirez siły, i stawał się czujniejszym. Kryjący się i cichy, z błyszczącemi oczyma i białemi zębami, mógł być mylnie poczytany za jakieś zwierzę w zasadzce, czekające aż mu wraz z nocą odwaga powróci.

Nagle zatrzymał się i począł wpatrywać. Na drodze od miasta poruszała się postać kobieca. Nawet w tej odległości i przy tem niepewnem świetle poznał Ramirez kapelusz z szerokiemi skrzydłami i posuwisty krok. Była to Sal... śmierć i przekleństwo! Bodaj wszyscy szatani zabrali ją! Zwróciła się na prawo na ścieżkę wiodącą ku chatce Gabryela — i Wiktor swobodniej odetchnął.

A następnie też obok niego ozwał się cichy głos, od którego dreszcz go przeszedł po całem ciele. Odwrócił się szybko. Była to pani Conroy, a wzrok jej błyszczał ponuro.

— Co tu robisz? zapytała go ostro.

— Tu? odrzekł Ramirez, zadrzawszy w dzikiej namiętności na widok stojącej przed nim postaci, tu! ktoś tamtędy poszedł ścieżką.

— Co mię to obchodzi, chocby mnie słyszał teraz? Ostrożność uczyniłeś niepotrzebną — odrzekła cierpko. Teraz cały świat zna nas... i dla tego pytam się znowu: co tu robisz?

Chciał przybliżyć się do niej, ale cofnęła się o parę kroków jak tylko dostrzegła ten jego zamiar i z czysto kobiecym ruchem pochwyciła za swą długą białą suknię jakby zabezpieczając się od tego, by jej nie dotknął.

Wiktor zaśmiał się wymuszenie.

— Przyszłaś pani tu, powiedział, zgodnie

z umową; nie moja w tem wina, że późno przybywam.

— Przyszłam tu ponieważ od pół godziny widzę z mojej werandy jak kręcisz się pomiędzy drzewami niby pies, którym też jesteś! Przyszłam tu by cię napędzić z mego gruntu tak jakbym psa napędzała. Ale przedtem mam jeszcze parę słów do powiedzenia.

Gdy tak stała, wyprostowawszy swą słuszną zgrabną postać, oświetloną zachodzącem słońcem, z bladym rumieńcem na twarzy, zimnemi błyskawicami w oczach z potężnym magnetyzmem całej swej istoty — wywarła dziwny wpływ na tego niewolnika namiętności i to w takim stopniu, iż dźwięcząca w jej słowach pogarda rozczuliła go tylko, rozogniła i wiłby się u nóg jej jak robak, byle go tylko dotrąciła delikatnemi trzema palcami, które teraz groźnie na niego podniosła.

— Niesłuszność pani mi wyrządzasz, na Boga żywego, Juljo! Dziś rano byłem dziko wzburzony, byłem szalony... przyszedłszy tu znalazłem cię z innym! Miałem powody, o Matko przenajświętsza!... miałem powody, dostateczne powody by oszaleć, ale przyszedłem w pokoju, w pokoju przyszedłem, Juljo.

— W pokoju, powtórzyła pani Conroy z pogardliwą ironją, kartka twoja była pokojową, bardzo pokojową w samej rzeczy!

— Ale ja sam nie wiedziałem jak inaczej zrobić ażeby być przez panią wysłuchanym. Miałem wiadomości... wiadomości, rozumiesz pani? wiadomości, które mogły panią uratować, gdyż przybywałem od kobiety mającej w swem posiadaniu koncesję. A! będziesz pani słuchać! nie chcesz pani? Tylko jednę chwilę, Juljo! wysłuchaj mnie, a odejdę!

Pani Conroy nieruchomo utkwiła wzrok w drzewo i rzekła zimno:

— Więc mów.

— A! pani chcesz słuchać! Więc dobrze! zawołał uradowany; a jak pani wysłuchasz, to się przekonasz. Naprzód mam fakt, że adwokatem tej pani jest ten sam człowiek, który Grację Conroy opuścił w górach, człowiek, którego zwano Filipem Ashley, ale którego rzeczywiste nazwisko jest Poinsett.

— Co pan mówisz? zawołała pani Conroy, nagle odskakując od drzewa i ostrym swym wzrokiem przeszywając Wiktora.

— Artur Poinsett, były żołnierz, oficer. A! pani nie wierzysz? Pozysięgam pani, że tak jest, że jest tak jak ja mówię!

— I cóż mię to obchodzi? zapytała szyderczo i znowu stając przy drzewie, mów pan dalej... albo może to już wszystko?

— Nie... ale to już wiele. Zauważ pani! jest on narzeczonym pewnej bogatej wdowy w południowych prowincjach, rozumiesz pani? Nikt nie zna jego przeszłości. A! pani poczynasz pojmować? On nie odważa się wyszukiwać rzeczywistej Gracji Conroy. Nie odważa się energicznie popierać pretensyj swej klientki. A zatem nie robi nic.

— Czy to wszystko coś miał mi pan powiedzieć?

— O, nie! nie!... Jest jeszcze coś; ale tego nie odważam się tu mówić, odrzekł, trwożliwie spoglądając na coraz bardziej zaciemniający się las.

— W takim razie pozostanie to nie wypowiedzianem, powiedziała pani Conroy z zimnym spokojem, ponieważ jest to nasza ostatnia rozmowa.

— Ale, Juljo!...

— Czyś się zdecydował? — zapytała znowu z tym samym zimnym spokojem.

Ta zimna krew, udana, czy rzeczywista, była jednak skuteczną. Ramirez raz jeszcze szybko powiódł wzrokiem dokoła, a potem powiedział ponuro:

— Przybliż się pani, a powiem jej. A! boisz się? boisz? No... jak pani chcesz!

Ale widząc że ta nie czyni żadnego poruszenia, nachylił się ku drzewu i szepnął:

— Przychyl pani głowę ku drzewu, a szepnę jej na ucho.

Pani Conroy przytrzymawszy rękę jego zdaleka od siebie, nachyliła ku niemu głowę. Ramirez szepnął jej kilka słów do ucha, które na stopę od drzewa nie mogły być posłyszane.

— Czy pan powiedział to jemu? Czy powiedziałeś to Gabryelowi? zapytała, ostro wzrok w niego utkwiwszy, ale bez żadnego poruszenia zimnej swej żelaznej postaci.

— Nie!... przysięgam ci, Juljo, że nie! Ja w ogóle nie powiedziałbym mu nic, ale byłem szalony. A on był dzikim zwierzem, olbrzymim niedźwiedziem. Trzymał mnie mocno, tak, tu! Nie mogłem ruszyć się. Było to wyznanie wymuszone, tak! o Matko przenajświętsza! gwałtem wyciśnięte.

Na szczęście Wiktora ciemność gęstą swą zasłoną okryła wyraz pogardy, jaki na chwilę zabłysnął w twarzy tej kobiety, przy tem uznaniu siły jej męża i słabości człowieka stojącego przed nią.

— I to wszystko co miałeś mi powiedzieć? zapytała.

— Wszystko! przysięgam ci, Juljo! wszystko! wszystko!

— A więc posłuchaj, Wiktorze Ramirez! rzekła, szybko odchodząc od drzewa na ścieżkę, blada, z twarzą surową i wpatrując się w niego: Jakikolwiek cel miałeś przychodząc tu, jest on uwieńczony powodzeniem! Osiągnąłeś wszystko coś zamierzał i więcej jeszcze! Człowiek, którego myśli przychodziłeś zatruć, człowiek którego przeciw mnie podburzyć chciałeś, odszedł, opuścił mnie... opuścił by nigdy nie powrócić. On nie kochał mnie nigdy! Tem żeś zdemaskował mnie przed nim wyrządziłeś mu największą usługę, gdyż podałeś do rąk uniewinnienie za zniewagi jakiemi mnie obsypał...

Nawet wśród panującej ciemności mogła dostrzedz bielejące zęby Wiktora, mogła słyszeć jego przyśpieszony oddech i wiedziała, iż pałał żądzą wyciągnięcia ku niej ręki. Rękę tę, gdyby tylko zechciała on okryłby pocałunkami. Ale ponieważ odgadła ten jego zamiar, więc nie ruszając się z miejsca obie ręce za sobą ukryła.

— O, tak! rzekła, znalazłeś pan zadosyćuczynienie, plan swój przeprowadziłeś! Teraz na mnie kolej. Czy myślisz może, że przyszłam tu by ci winszować? Nie! o, nie! przyszłam tu by ci powiedzieć, że obrażona, znieważona i nogami zdeptana przez męża mego, Gabryela Conroy, odpędzona i zhańbiona, tak jak tu teraz stoję — ja pomimo to kocham go! Kocham jak nigdy dotąd mężczyzny nie kochałam; kocham, jak nigdy nikogo kochać nie będę; kocham go tak głęboko, tak szczerze, tak gorąco, jak ciebie nienawidzę! Kocham go tak, że pójdę za nim wszędzie, choćbym miała na kolanach wlec się za nim. Jego nienawiść droższą jest dla mnie aniżeli twoja miłość. Czy słyszysz mnie, Wiktorze Ramirez? Oto co ja... ja... przyszłam ci tu powiedzieć! Owszem! więcej jeszcze!... posłuchaj! Tajemnicę, którą wyjawiłeś mi przed chwilą, czy ona jest prawdziwą czy kłamstwem — ja mu wyjawię! Ja, ja mu dopomogę do znalezienia siostry. Ja chcę by on mnie kochał, choćby mnie, ciebie, każdego i wszystkich życie kosztować miało, by to osiągnąć! Czy słyszysz to? czy słyszysz, Wiktorze Ramirez? Ty psie tchórzliwy, ty hiszpański mieszańcze! Ty, podrzutku pół krwi! O! zgrzytaj zębami w ciemności! Znam cię! zgrzytaj zębami; tak zgrzytałeś i wśród dnia gdy Gabryel cię trzymał, gdy wiłeś się pod jego pięścią. Piękny to był widok, Wiktorze, godny mężnego sekretarza, który umierającej dziewczynie ukradł dokument! godny mężnego żołnierza, który opuścił swój garnizon! O! ja znam cię, mój panie! I znałam od pierwszego dnia gdym cię zrobiła mojem narzędziem, moim błaznem, moim osłem! Chodź tu, panie, chodź! Wydobądź nóż! wydobądź! Ja nie boję się ciebie, nędzna istoto! ani jednego jęku nie wydam! zapewniam cię!...

Z dzikim chrapnięciem wściekłości i wstydu rzucił się na nią z dobytym nożem. W tej samej chwili w ciemności wysunęła się ręka i z szybkością spadła mu na ramię, Ramirez odwrócił się i wśród straszliwych przekleństw dziko począł wić się w rękach Devarge'a. Kobieta, nie czekając na to by podziękować swemu wybawcy, lub też dowiedzieć się o rezultacie tej walki, uciekła.

Jedną tylko myślą opanowana, biegła prosto do swego domu. Tam napisała pospiesznie ołówkiem kilka wierszy na kawałku papieru i zawołała jednego ze służących Chinczyków.

— Weź to, Ah Ri, rzekła, i zanieś panu Conroy. Znajdziesz go u adwokata Maxwella, a jeżeli go tam nie ma to Maxwell powie ci gdzie się znajduje. Ale koniecznie musisz go odszukać. Gdyby już opuścił miasto, musisz udać się za nim. Znajdź go w ciągu godziny, a dam ci dwa razy tyle.

Wsunęła mu w rękę sztukę złotej monety.

— A teraz, biegnij! dodała.

Chociaż Ah Ri miał bardzo ograniczone pojęcia o angielskim języku, postawa tej kobiety była tak wymowną, iż wszelkie tłumaczenie było zbytecznem. Ah Ri skinął głową i powiedział:

— Rozumiem!... jak można najprędzej!

Pieniądz i kartkę wsunął za rękaw i szybkim krokiem wybiegł z domu. Nie pozwolił sobie najmniejszej zmiany co do ścisłego spełnienia danego polecenia. Donośny łoskot bójki w krzakach na Conroy-Hill i głośne wołanie pomocy nie zwabiły go, gdy biegł tuż niedaleko; powiedział tylko:

— Lećcie choćby do piekła!... to mnie nic nie obchdzi!... nie głupim zważać na wasze hałasy!

Wpół godziny dobiegł do kancelarji adwokata Maxwella. Ale wiadomości jakich tam zasiągnął nie były pomyślne. Gabryel już przed godziną wyszedł i nikt nie wiedział dokąd.

Ah Ri na chwilę zawahał się zakłopotany, a potem zbiegł szybko z pagórka ku miejscu gdzie pracowało niedaleko od drogi kilkunastu jego żółtych o długich warkoczach ziomków. Tu zatrzymał się i fistułą wydał kilka bardzo dziwacznych dźwięków, zupełnie nie zrozumiałych dla niewielu Amerykanów, przypadkowo znajdujących się wpobliżu.

Ale działanie ich było czarodziejskie. W jednej chwili kilofy i łopaty odrzucano na stronę i nim zdumieni górnicy mogli się opamiętać, cała grupa Chińczyków znikła, rozbiegłszy się po

rozmaitych drożynach, rozchodzących się z One horse gulch, z wyjątkiem jednego.

Tym jednym, na szczęście, był sam Ah Ri. W pół godziny natrafił on na cel swoich poszukiwań. Na odłamku skały przy bocznej drodze, siedział Gabryel, paląc wieczorną swą fajeczkę. Kilof, łopata i worek leżały przy nim. Ah Ri nie tracił czasu na przedmowę ani żadne wstępy. Poprostu wręczył kartkę, bezzwłocznie powrócił tą samą drogą i wkrótce znikł. W pół godziny wszyscy Chińczycy powrócili i znowu wzięli się cicho i spokojnie do kopania, jak gdyby nic nie zaszło.

Gabryel położył fajkę i przez chwilę z wahaniem trzymał w palcach kartkę. Otworzywszy ją następnie, poznał odrazu piękne pismo, jakiem żona jego prowadziła rachunki i spisywała co jej dyktował. Wtedy, powtórnie spojrzawszy i nie znając jeszcze treści kartki, uczuł jakby słaby żal. A potem począł czytać z namysłem i wahając się, rozważając i powtarzając wyrazy, wymawiając pojedyńcze sylaby, jak to jest zwyczajem ludzi, którzy szkoły nie zaznali; przeczytał powoli następujące słowa:

„Nie miałam słuszności. Zostawiłeś coś — tajemnicę, o której — jeżeli cenisz własne szczęście — musisz dowiedzieć się odemnie. Jeżeli w ciągu najbliższych dwóch godzin przybędziesz do Coroy Hill, to się dowiesz o niej; ponieważ więcej nie wejdę do tego domu i dziś w nocy oddalam się ztąd nazawsze. Proszę cię byś przyszedł nie dla twojej żony, ale dla tej, za którą niegdyś żona twoja podstępnie wydawała się. Przyjdziesz, ponieważ kochasz Grację, a nie dla tego, że masz jakąkolwiek życzliwość dla

„Julji“

Było w samej rzeczy coś stanowczego w tym liście; Gabryel to jasno i wyraźnie zrozumiał. Chodziło tam o jakąś wiadomość o Gracji. Tego było dla niego dość. Wziął fajkę, schował, wstał, torbę i kilof zarzucił na plecy i stanowczym krokiem powrócił.

Dochodząc do miasteczka ze wstydliwą nieśmiałością człowieka, który niedawno opuszczał je by nigdy nie wrócić, począł unikać znaczniejszych ulic; ale robił to, w prostocie ducha tak nieoględnie, że dwóch czy trzech ludzi, pracujących przy przekopie, widziało jak schodził niezwykłą i rzadko używaną ścieżką z pagórka. Nie długo jednak tam zatrzymał się, gdyż po upływie pewnego czasu — jedni mówili, że dziesięciu minut, drudzy że piętnastu, znowu go ujrzano jak szybko ale spokojnie schodził nadół i przeszedłszy przez miasteczko znikł w gęstwinie u stóp góry.

Z zachodem słońca zniżyła się także i temperatura tej nocy i suche gorąco, od dwóch dni panujące w okolicy, ustąpiło miejsca gwałtownemu wichrowi świszczącemu pomiędzy wierzchołkami drzew w Conroy Hill pomiędzy oknami domów po drogach.

Ale wraz ze zniknięciem nocy, ustały jęki wiatru, i następnego poranku słońce znowu się wzniosło nad uspokojoną okolicą. Według swego zwyczaju oświetliło ono pierwszemi promieniami szczyty olbrzymich jodeł na Conroy Hill, a potem powoli ześliznęło się po pniach aż do ziemi.

A na ziemi leżał trup Ramireza z nożem w piersiach. (C. d. n)

WIELORYB.

POWIEŚĆ. *)

Wielorybowi nie dość jest być panem
Nad rozległym Oceanem;
Gdzie Bałtyckich wód cieśniny
Tam raz zrobił odwiedziny.

I zaraz wydał ukaz: Czy wielka, czy mała,
By wszelka ryba uległość dlań znała,
Bo przyszedł porządkować, ciszyć wichrzycieli.
Napróżno jemu sum przekładał który:
„Już my tutaj porządek bez waćpana mieli,
„To waćpan co znów wszystko przewracasz do góry.“
Gdzie tam z takim olbrzymem kto dostoi w sprzeczce;
Każda ryba uległa lub skryła się w rzeczce.
A on się po Bałtyku sposobem wiadomym
Przechadzał, i tryskając z nozdrzy wód strumieniem
Pysznił się: „Któż się z moim porówna ogromem
„Mnie tutaj swoim panem zna wszelkie stworzenie!

W tem niespodzianie ryb drobnych gromada
Posłuszeństwo wypowiada.
Mówią: „My niepodległe!“ Chciał je zetrzeć w biegu,
A te uciekać do brzegu.
Ten się gonić za niemi, wtem nagle się zrywa
Jedna z tych burz co czasem na Bałtyku bywa.
Rybkom nic, ale olbrzyma nawała
Na miałkich piaskach złapała,
Próżno z nich chciał się wyrwać, ten którym się chlubił
Własny ogrom go tam zgubił.

O mój kraju! i ty tąk wyglądasz jak morze
Gdy pocznie po twych łanach wiatr kołysać zboże.
Masz także wieloryba, przybył w twe równiny
By poddaństwem nazywać swem Lechitów syny
Ach! kiedyż przyjdziesz burzo, co wśród gromów blasku
Na którymś mazowieckim osadzisz go piasku!

Paryż 26 lutego 1842 r.

Antoni Gorecki.

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

Druga serja.

(Dokończenie).

Z miną kwaśną, zły na fatalizm prześladujący mię dzisiaj w postaci potwornych nosorożców, przyłączyłem się do Shabundera, który uśmiechał się z mego niepowodzenia. Niebawem i asesor zrównał się z nami; on był szczęśliwszy odemnie, i ze swymi marynarzami trafił na stado pawi, z których ubił cztery sztuki.

W tem miejscu ścieżka zaginała się i robiąc raptowny skręt, wprowadziła nas na błonie, które z poza gęstego muru zieloności nie było przez nas dostrzeżone. W pośrodku pola leżącego ugorem szarzała jakaś bezkształtna masa, a nad nią chmura sępów i innych ptaków krążyła zniżając się to znów podnosząc, wedle tego, jak nieforemna bryła spoczywała spokojnie lub się poruszała. Co to być mogło, trudno rozpoznać z tak daleka — zbliżamy się, po drodze napotykamy różne trupy. Jest tygrys, którego szczątki rozpoznać z kawałka poszarpanej skóry i potężnych pazurów, o parę kroków obnażona szczęka świeci strasznemi zębami. Otóż i sępy rozpłatane i do czysta wypatroszone, inne leżą zduszone. Jest także i gavial ale ten literalnie spłaszczony. Zatrzymawszy się o dwadzieścia kroków, możemy już rozpoznać masę ruchawą, przedmiot naszej ciekawości. Był to szkielet słonia, a w jego środku olbrzymi boa wysysał ostatki, racząc się z kolei po tylu biesiadnikach, o których obecności świadczyły okropne szczątki cuchnącego ścierwa.

— Nie omyliłem się — mruknął Shabunder do siebie.

— Maha — zagadnąłem go — powiem ci później jaka była myśl twoja w tej chwili; ale pierwej zajmijmy się tym wężem. Jak tu się wziąć do niego? Zdaje mi się, że można będzie bliżej przystąpić, on jest strasznie obżarty.

— Nie tak dalece, jakby się to zdawało. Nie widziałeś pan, jak ogonem dusił sępy gdy mu się naprzykrzały? Ot widzi pan, najprostszy sposób może będzie najlepszy. Ustawmy ludzi naszych w półkole, dadzą ognia razem celując w samą głowę, i tak każdy będzie mógł się poszczycić, iż zabił boa.

— Masz rację Maha.

Jak powiedziano, tak też i uskuteczniono. W mgnieniu oka potężny płaz z życia przeszedł w konanie, miotając strasznem cielskiem w kurczowych podrygach.

— Booghuy, na ciebie kolej pokazać nam skutki swej kuli wybuchającej.

— Chcę ci Maha pozostawić tę przyjemność — rzekłem odbierając z rąk Luglego sztucer, który podałem Shabunderowi.

— Ażebym i ja mógł sobie powiedzieć, żem zabił boa.

Za całą odpowiedź uśmiechnąłem się dwuznacznie. Shabunder zmierzył w środek kadłuba, dał ognia, boa przecięty we dwoje drgał jeszcze chwil parę, poczem oba kawały cielska legły martwe na ziemi.

Trzeba nam było pospieszyć do domu, wsiedliśmy w łodzie, i w niespełna pół godziny wpłynęliśmy do małej przystani gdzie czekały nas cztery słonie; na ich grzbiecie mieliśmy dopełnić resztującej drogi. Shabunder asesor i ja zajęliśmy miejsca w najwygodniejszym huddah, moje chłopcy i marynarze asesora mieścili się w drugiej skrzyni, eskortę naszą niósł trzeci słoń, a ostatni szedł obładowany łupem z naszego polowania. W takim porządku ruszyliśmy z miejsca szybkim kłusem. Shabunder po hwili odezwał się do nas.

— Byłem w obawie, żeby nasza ekskursja nie przeciągnęła się zbyt długo, dla tego kazałem trzymać słonie w pogotowiu. Jak się okazuje miałem słuszność, w ten sposób na dziesiątą staniemy w domu, kiedy łodzie dopiero około północy mogą nadpłynąć. Chciałem twej żonie booghuy oszczędzić próżnej obawy, także i moim paniom niesprawić niepokoju.

— Za co ci, Maha, będą z pewnością bardzo wdzięczne.

Noc zapadła szybko, rozmowa schodziła na coraz to inny przedmiot.

— Cóż to booghuy nic nie mówisz? — zagadnął mię nagle Shabunder — Otóż teraz musisz mi powiedzieć, jaką to myśl przypisywałeś mi tego popołudnia?

— Ach! wracasz pan do tego przedmiotu, niech i tak będzie; więc słuchaj mię Maha. Zaprowadziłeś nas pierwotnie do kniei, gdyż rachowałeś z pewnością iż Czarno-duży ulubiony wierzchowiec twej żony, musiał w tych stronach przebywać; i nie omyliłeś się, jak to się okazało. Sam nie strzelałeś do niego wiedząc, ile żona twoja przywiązuje wagi do tego słonia; ztąd całe nieukontentowanie spadnie w pierwszej chwili na nas, z czasem jednak to się ułagodzi tembar-

*) Nieznany ten wiersz Antoniego Goreckiego drukujemy z łaskawie nam przez p. E. Pawłowicza udzielonego rękopisu nieodżałowanej pamięci Autora.

dziej, że rany nie są niebezpieczne — zresztą jeżeli pozwolisz Maha, uskutecznię operację i wydobędę utkwione kule.

— Hamuch! kochany booghuy! czy na prawdę — ależ to doskonale — wykrzyknął zadowolony gospodarz.

— Następnie — ciągnąłem dalej — powiodłeś nas w stronę bagien, w zamiarze odszukania trębacza, a raczej jego kłów, bo ci niepowiedziano, że zostały wyrznięte.

— Booghuy — odrzekł śmiejąc się na całe gardło Shabunder — nazwałbym cię czarnoksiężnikiem, gdybym nie wiedział, że masz przy sobie dwóch sprytnych i wiernych służących, którzy mają w dodatku nader bystry słuch...

Zaśmiałem się z kolei, asesor ochoczo nam wtórował. Tymczasem noc zapadła, stanęliśmy u wnijścia do lasu i zapalono latarnie, asesor wszczął jakąś rozprawę fiskalną z gospodarzem, ja zdjąłem z siebie strzelbę, która mi zawadzała przy ruchu naszej jazdy i oparłszy ją o kolana zatopiłem się w myślach, wiodąc machinalnie oczyma po krzakach okalających drogę. Siedziałem po lewej ręce i z tej strony miałem wolne ruchy, w tem zdaje mi się, że słyszę jakiś szelest z prawej strony, natężam uwagę — nie, to koło mnie szeleszczą krzaki, przypatruję się lepiej i widzę parę oczów błyszczących jak dwa węgle, wlepione w światło naszej latarni z uporczywością prawie magnetyczną. Przesuwały się one brzegiem zarośli, migotając niby świętojańskie robaczki. Bez myśli prawie przykładam broń i daję ognia z dwóch luf, raz za razem. Żałośne beknięcie odpowiedziało na mój strzał, i ucichło, ale ruch między krakami i szelest potrącanych gałęzi dał się słyszeć po obu stronach lasu.

Na huk podwójny mego wystrzału, Shabunder i asesor zerwali się w najwyższym stopniu zdziwieni, pochód wstrzymano; Józef i Lugle jak dwie wiewiórki zeskoczyli ze swego siedzenia i już szukali przetrząsając krzaki.

— Przepraszam mocno — rzekłem do moich przestraszonych towarzyszy — przebaczcie mi, nie byłem panem siebie... Od paru dni strzelam jak student na wakacjach — korzystam z każdej okazji i widzę, żem nie stracił jeszcze wprawy.

— Nigdym o tem nie wątpił — odparł Shabunder.

Wtem Józef i Lugle ukazali się, dźwigając jakiś przedmiot, który wyciągali z krzaków przyświecając latarnią trzymaną przez jednego ze sług.

— Booghuy! samica jelenia ze swym małym — zawołał Lugle.

— Panie co za śliczna łania z sarniątkiem. Słowo honoru prześliczna — powtarzał Józef i pomagając sobie wzajemnie, podźwignęli w rzeczy samej ładną płowo-brunatną łanię, z jaśniejszemi płatami rzuconemi wzdłuż grzbietu.

Służący z latarnią w jednem ręku, przytrzymywał drugą za kark biednego sarniuka, który w dzień byłby z pewnością uciekł, ale w nocy nieodważył się opuścić matki.

— Co mam z nim zrobić Maha? — zapytał swego pana.

— Łanię włożyć na ostatniego słonia, a małe przywiązać koło niej — wychowamy je.

Gdy rozkaz uskuteczniono, pochód ruszył i wkrótce stanęliśmy u brzegu głównego kanału, tam czekały nas łodzie, i punkt dziesiąta wysiadaliśmy u przystani, wprost dworskiego tarasu.

Była właśnie pora wieczerzy, zasiedliśmy do stołu rozpowiadając o naszych bohaterskich czynach, które na paniach wywołały nie małe wzruszenie — tryumf był kompletny! Parę razy w czasie opowiadania, oczy starszej panny spoczęły na pięknym Angliku, z wyrazem, który zdawał się mówić „Jakto byłeś wystawiony na takie niebezpieczeństwa i nie pomyślałeś o mnie, niewdzięczny!

Z powodu naszego utrudzenia postanowiono na drugi dzień, to jest w wilją naszego wyjazdu, wyruszyć dopiero po śniadaniu i około południa na ostatnią wyprawę. Panie miały tym razem brać udział w wycieczce, i posileni doskonałem śniadaniem zeszliśmy nazajutrz wesoło rozmawiając na brzeg kanału. Dwie łodzie czekały nas, z tych jedna bardzo ozdobna przeznaczona była dla pań. Zajęliśmy nasze miejsca i wśród żartów i śmiechów wypłynęliśmy na wielki kanał.

Od północy odgraniczona przez trzy główne koryta rzek, leżała niewielka wyspa Kuimbe, która w czasie pory dżdżystej w znacznej części stoi pod wodą. Nie jest ona własnością Shabundera, ale jedyna osada jaka się tam zbudowała, pozostaje w jego usługach i naczelnik gromady jest dozorcą ogólnym i zarządcą drugiej nieopodal leżącej wyspy, dzierżawionej przez Shabundera. Ta ostatnia ciągnie się ze dwanaście mil wzdłuż i jest w różnych punktach przerznięta kanałami, i uprawna roślinami zastosowanemi do gleby i położenia. Budowle wedle potrzeb rozmieszczone w niektórych punktach łanu, są jedne przez cały rok zajęte, drugie w porach właściwych użytkowane. Ponieważ dzikie zwierzęta, drapieżce i wielkie płazy robią ogromne szkody w różnorodnych gałęziach przemysłu, jaki się tam rozwija, starają się wszelkiemi sposobami w części wygubić, w części wystraszyć szkodników, i nie tylko polują na nich i zastawiają zasadzki, ale jest utworzona banda z mężczyzn, kobiet i dzieci złożona, która trąbiąc, bębniąc i bijąc w przeróżne hałaśliwe instrumenta, wygania nieproszonych gości, to z jednego to z drugiego miejsca.

Kiedyśmy byli wprost Kuimbu, łodzie dobiły i wysiedliśmy zwidzieć warstaty, w których pióra kosztowne, za nim je opakują do dalekich transportów, przechodzą przez ręce krajowców. Urządzenie tej fabryki jest bardzo proste: długa stodoła i parę pieców z cegły stanowią skład budowy, narzędziami są długie lasy do suszenia, trzcinki rotangu do zbijania i kosze z liści lub sitowia do opakowania już gotowego towaru. Po oddzieleniu puchu od piór, suszą te ostatnie na słońcu, poczem obijają trzcinką dla nadania giętkości, przez co odpada także część wierzchniej łuski. Następnie kładą je w piec lekko ogrzany i rozkładają w miejscu ocienionem, żeby raz jeszcze przed opakowaniem zostały obite.

Przejrzawszy co było ciekawego wróciliśmy do łodzi. Kanał, którym płynęliśmy, miał dość szeroką przestrzeń brzegu obnażoną, niby bulwar, a to w cele uchronienia się od niespodziewanych napaści dzikiego zwierza. Na tym nagim szlaku od czasu do czasu sterczało wysokie obciosane drzewo, z gęstą u szczytu koroną. Przeznaczenie tych samotnych widet zostało mi niebawem wyjaśnione. Jastrząb jest uznanym nieprzyjacielem młodego pokolenia ptaków i niszczy je z całą zaciekłością, w interesie zatem krajowców leży pozbycie się tego szkodnika, i w tym celu sporządzają mu następujące niespodzianki. Do długiej żerdzi z bambusu, zaostrzonej u spodniego końca, przytwierdzają suty panasz z gałęzi namaczanych lepem i wbijają taki słóp silnie w ziemię, a u stóp jego kojec napełniony zgłodniałem ptastwem domowem stanowi przynętę. Jastrząb chciwy i żarłoczny, wkrótce przybywa zwabiony piskiem i zapachem, ale że z natury jest bardzo podejrzliwy zamiast więc od razu rzucić się na ptactwo, chce pierw zbadać co ono tam robi i czemu zamknięte w klatce. Dla zaspokojenia swojej ciekawości siada na drzewie, a ponieważ lot ma ciężki zlatując, wbija się silnie w gałęzie, które go już więcej nie puszczą. Na nic piski i trzepotania — nadchodzą ludzie, sztuczne drzewo kładą na ziemię i kijami dobijają żarłoka. Często dla umniejszenia sobie fatygi, czekają póki dwóch lub trzech nie złapie się na jeden lep, chociaż to nie zawsze bywa z korzyścią: zostawiając bowiem im czas do namysłu, daje się sposobność uwolnienia się przy wielkich wysiłkach.

Pierwsze drzewo, któreśmy napotkali, kryło w sobie dwóch więźniów, asesor położył ich trupem, i tak go to cieszyło, że wśród żartów i wesołości pań przez cały dzień bawił się strącaniem tych drapieżców; z powrotem mieliśmy jedną łódź zapełnioną jastrzębiami.

Czaple tymczasem przelatywały nam po nad głowami, istnie jakby mnie na urągowisko, a było ich dużo odmian, przeważnie sułtańskie z pysznym czubem; zaczęło mię to niecierpliwić.

— Jakto booghuy, pan co masz taką słabość do tych ptaków, nie strzelasz? — rzekł uśmiechając się dwuznacznie Shabunder.

— Zkąd wiesz Maha o tym moim guście? zapytałem zdziwiony.

— Dość nam pan krwi napsułeś podczas twojej podróży do Mandelay, żebym miał o tem zapomnieć. Wtenczas nie znałem pana, i możesz sobie wyobrazić, że cię tu nie oszczędzano.

— Nie rozumiem.

— Nad brzegiem rzeki Rangun, nieopodal od miejsca w którem się ona rozłącza z Irrawady jest kraina, tak jak ten łan tu, przeznaczona na chów i polowanie ptaków.

— Ah! zaczynam pojmować...

— Otóż musisz pan wiedzieć, że pióra czaple stanowią znaczną rubrykę w dochodach tej kategorji przemysłu, i my nie bierzemy inaczej czaple, jak w zatrzask i to jeszcze w porach kiedy młode same mogą już wyszukać sobie pożywienie; ten sam system stosujemy także i do innych ptaków. Tymczasem pan i ludzie pańscy strasznego narobiliście spustoszenia między stadami bocianów, pelikanów, czapli, i to wtenczas kiedy pisklęta zaledwie się wykluły, matki spłoszone opuściły gniazda swoje, niektóre przyleciały zganiać nasze kokosze i....

— Już nie kończ Maha, jestem w rozpaczy. A cóż teraz, czy także jest czas wysiadywania? zapytałem.

— Nie jeszcze.

— A więc można bić czaple.

— Ile ci się booghuy podoba.

Prosiłem, by zwolniono bieg łodzi, Józefowi kazałem podać strzelbę i kawałek chleba, skłoniłem się damom z zapewnieniem, że im przyniosę piękny strój, i wskoczywszy do małego czółna kazałem z dala wiosłować za łodziami. Po jednej i po drugiej stronie czółna porozkruszałem w wodę chleb, sam ukryłem się na dnie i ze strzelbą opartą o krawędź czekam skutku mego fortelu.

Czaple mają zwyczaj, dojrzawszy łatwą zdobycz, puszczać się wprost ku niej, z głową wysuniętą, nogami w tył wyciągniętemi, i w chwili dotarcia głowę podnoszą, porywają przedmiot upatrzony i odlatują. Gdy zdobycz nie może być

od razu uniesioną, trzymają się nad powierzchnią wody, biją skrzydłami, i zaledwie zamoczywszy końce nóg zbierają żer.

Moje czółno nie odpłynęło więcej nad trzydzieści kroków od zarzuconych okruszyn, kiedy ptaki rzuciły się na nie z chciwością· Spieszą się a spieszą, ja także nie tracę czasu, daję ognia w prawo w lewo, czaple ulatują, ale pięć z nich zostaje na miejscu. Nie trzeba mi było więcej, dopływam, chwytam moją zdobycz i składam ją w ofierze paniom.

— Brawo booghuy! to lepsze niż jastrzębie — zawołał nieoględnie Shabunder.

Starsza jego córka zdaje się nie podzielała zdania ojca.

Dobiliśmy do brzegu, Shabunder i ja, i zajęliśmy się przeglądem pól, które stosownie do uprawy roślin i krzewów, były rozdzielone na mniejsze lub większe łany; idąc tak wzdłuż jednego kwadratu zastaliśmy ludzi zbierających miód. Co tu za łatwość we wszystkiem, jak mało potrzeba do założenia pasieki! parę desek zbitych w kształt słupa zwężonego w górze i z otworem stosownym, to wszystko okryte grubem przędziwem, we środku ściany obmazane miodem i jest już ul, a w nim niebawem i pszczoły. Takie same przyrządy ustawiają na pniach lub drzewach, tylko że do podbierania tych ostatnich trzeba więcej zachodu.

Kiedyśmy obejrzeli urządzenie plantacji i uprawę różnych roślin handlowych, zdążyliśmy, Shabunder ja i moje chłopcy, ku łodziom, gdzie panie pozostały pod opieką asesora ciągle zajętego strzelaniem jastrzębi. W połowie drogi dolatuje nas hałas bębnów, kotłów, szczekanie psów, krzyki ludzi, a w pięć minut później, ryk tygrysa, i ostry przeszywający głos słonia rozwścieczonego, tak zwany groźny *bool* rozlegający się w powietrzu donośniej niż kotły i bębny.

— A cóż to za piekielny wrzask? — zapytuję Shabundera przyspieszając kroku.

— Niezgrabiaże? zaleciłem im przecież wyraźnie, żeby nie przeszli linji kanału Pyahpung, aby nań weprzeć dzikie zwierzęta, a oni wręcz przeciwnie zrobili.

Mówiąc te słowa, Shabunder zdawał się być zaniepokojonym i ciągle przyspieszał kroku.

— Ah! bo też to z temi przeklętemi bestjami — dodał — rzeczy nie zawsze idą tak, jakby się chciało. I to prawda, że w tej kniei dawno nie było obławy.

Hałas tymczasem wzmagał się coraz bardziej, słychać było głosy ludzkie, trąby, bębny zmięszane z rykiem zwierząt.

— *Makambu*! co tam robić będą moi ludzie ze swemi pikami i dahem, przeciwko tym dzikim bestjom!

— Spieszmy Maha spieszmy — rzekłem — o ile mogę rozróżnić, są tam dwa tygrysy i jeden słoń. Ale co mi teraz przychodzi na myśl — dodałem — szkielet tego słonia znalezionego na błoniu zdaje mi się nie był szkieletem Trębacza. Nie bez przyczyny przezwali go tem imieniem i żaden inny tylko on chyba z taką wściekłością trąbi nam teraz.

— Masz rację booghuy... ah piekielna bestja! chodźmy chodźmy, prędzej!

Dopadliśmy do łodzi, gdzie nie mała panowała trwoga. Marynarze chwycili za wiosła, kto tylko miał dość silne dłonie przyłożył ręki do dzieła, sunęliśmy jak strzała, nie długo chaty wsi położonej na krańcu kniei zaczęły się wychylać z po za drzew, dziesięć minut jeszcze, dziesięć minut trwogi, dzieliło nas od ludzi zostających może w niebezpieczeństwie życia. Zdwajamy siły, Shabunder chwyta za sznur dzwonu, który zawsze jest zawieszony w takich łodziach, i bije na znak, że przybywamy w pomoc. Na odgłos dzwonu, ukazują się nad brzegiem kobiety ale gdzie są mężczyźni?...

Pomału krzyk i ujadanie psów oddala się, już słychać je gdzieś z drugiej strony kanału, aż tu naraz groźny *bool* słonia przeszył powietrze i to nie dalej jak na strzał. Nie można było wątpić, był to głos trębacza, głos wściekły, rozjuszony, zapowiadający straszny szał rozhukanej złości; ktoś musiał paść koniecznie ofiarą.

Dobijamy do brzegu, wyskakujemy i złączeni w oddział gotów do ataku, biegniemy ku wsi. Naczelnik gminy starzec kilkudziesięcioletni wybiega do nas przestraszony, z dahem w jednem ręku, w drugiem trzymając dzidę.

— Cóż tu się dzieje? — pyta Shabunder.

— Trzech ludzi rannych.

— Boże wielki! i czy niebezpiecznie?

— Nie tak bardzo... za to ubili tygrysa i parę dzików, drugi tygrys został rozpłatany przez słonia, któremu wpierw wydrapał oczy, i ten rozjuszony, uderzył na mój dom i w połowie rozwalił chatę.

— Co? doprawdy? Chodźmy to zobaczyć, prowadź nas człowiecze, Panowie czy idą z nami? zapytał Shabunder zwróciwszy się do mnie i do asesora.

— Naturalnie! a czemuż by nie?

— Teraz mój kochany powiedz nam, jak się rzeczy miały, i skąd powstało takie zamięszanie między temi dzikiemi bestjami? — zagadnął Shabunder naczelnika, kiedyśmy szli prowadzeni przez niego.

— Wedle pańskiego rozkazu obławnicy mieli zlecone zagnać zwierzęta na przeciwny kanał, ażeby ten po którym państwo mieliście płynąć, był oswobodzony od nieprzyjaciela. Wyprawieni na ten cel ludzie, podzielili się w małe gromady i weszli w zarośla, robiąc jak mogli największy hałas. Tymczasem drugi oddział miał zajść od cypla w którym oba kanały łączą się z sobą, i zagrodzić drogę zwierzętom, któreby nim się zdecydują przejść kanał, próbowały przedrzeć się wzdłuż brzegu, co by im dało możność rzucenia się w drogę państwu. Ale że ten oddział zanadto wielki zrobił okrąg, zanim więc stanął na miejscu, pierwsze gromady zaczęły już hałas. Zwierzęta wypłoszone, rzuciły się w stronę zkąd nie rozpoczęła się jeszcze obława. Niebawem wzięte we dwa ognie, przestraszone krzykami i całym przyborem trąb i bębnów, racami i petardami co wśród nich się krzyżowały, uderzyły jedne w prawo, drugie w lewo, natrafiając na trzecią gromadę która ledwie co zaczęła swoją czynność. Z dzikami krótka była sprawa, ubito ich niebawem kilka sztuk, ale w tem wypadają dwa tygrysy, i pomimo że race i petardy pękają, świecą ognikami i rozpryskują się, one nic nie pytają i rzucają się wprost na obławników. Jeden w skoku nadziewa się sam na pikę, drugi wywraca trzech ludzi, kaleczy ich i sam raniony robi nagły wzrot w tył, i oko w oko spotyka się z uciekającym słoniem. Na widok tego nowego nieprzyjaciela tygrys daje susa, ale krew, którą utracił dwiema ranami, osłabiła jego siły, skok był źle wymierzony i zamiast osadzić się na głowie słonia, opadł na ziemię przebity kłami nieprzyjaciela. Tygrys leżał stratowany pod nogami swego przeciwnika, ale słoń był oślepiony pazurami tygrysa, które wyryły krwawy ślad i i wyłupiły mu oczy, Wściekły bólem, nie widząc kierunku gdzieby uciec, słoń biegnie prze siebie, potrąca o drzewa, łamie gałęzie i wpada do wsi gdzie krzyk kobiet i dzieci potęguje jego szaleństwo. Sam nie wie już co robić, uderza w bok i natrafia na moją chatę. Ściana jej z bambusu ustępuje pod siłą natarcia, pułap z rotangu się chyli, wiązanie trzeszczy i rozwodzi się, belki i krokwie ze wszech stron walą się na niego. Każdy ruch tego kolosa, wstrząsa słabą budową, chce się wycofać, i coraz więcej plące się, w liany oplatające nasze domy. Ogłupiały nie wiedząc co począć, zapycha głowę między stos rozrzuconych rogoży i kładzie się znużony; w tym stanie zostawiłem go spiesząc na spotkanie panów. Byłbym go zarzucił gałęźmi i podpalił niechby, się tam udusił, ale bałem się wzniecić ogień we wsi.

Zrozumieliśmy położenie które nie było tak niebezpieczne, chociaż zawsze wymagało pewnej ostrożności, gdyż słoń gdyby się otrząsł z materjałów jakie się na niego zwaliły i uwolnił z uwięzi, mógłby jeszcze być groźnym. Shabunder ucieszony, że może sprawić paniom wzruszające widowisko, posłał po nie do łodzi. Tymczasem nasi ludzie rozstawili się z bronią nabitą, gotowi dać ognia za najmniejszem poruszeniem.

Panie przybyły trochę strwożone, Shabunder zaprowadził je przed otwór wywalonej ściany i pokazał splątanego słonia.

— No teraz booghuy — rzekł zwracając się do mnie — nadszedł czas zużytkowania twoich kul wybuchających.

— Niechaj najmłodszy z nas zbiera laury — odparłem podając mój duży sztucer asesorowi.

Potwór usłyszał głosy nasze, zwietrzył niebezpieczeństwo i podnosząc w górę trąbę wciągnął powietrze, zatrząsł się i wydał ryk długi i przeraźliwy, gotów drogo sprzedać swoje życie.

— Trębacz! Trębacz!—zawołały jednocześnie żona Shabundera i córki.

Asesor dał ognia, kula wpadła między łopatkę i żebro, osiadła koło żołądka i rozpękła się, rozdzierając straszliwie mięśnie. Zwierz zachwiał się i przy odgłosie wykrzykników kobiet, powalił się między szczątki rozwalonej budowli. Wybuch atoli kuli wywołał silny płomyk, rogoże zajęły się, ogień od nich przebiegł do łat krokwi i byłby ogarnął cały budynek, lecz szczęściem było nas tam dosyć, aby przerwać dalsze rozszerzanie się pożaru.

Asesor zbierał prawdziwe laury. Pochwały sypały się zewsząd, nawet z różowych ust starszej córki Shabundera i te były najgorętsze... Wśród wynurzań dziękczynnych miejscowej ludności odpłynęliśmy z łupem skór tygrysich i kłów słonia, pozostawiwszy sute gratyfikacje obławnikom, i podwójne wynagrodzenie rannym biedakom.

Ostatni dzień naszego pobytu w domu Shabundera poświęcony był na przegląd gospodarstwa domowego i na festyn, który dla nas i dla asesora wydawali gospodarstwo, sprosiwszy swoich sąsiadów naczelników gmin, i wszystkich kierowników fabryk i rządców folwarcznych.

Około drugiej godziny dziedziniec przybrał świąteczny strój, bandery powiewały na wysokich palach, w około gazonu ustawiono słupy na ognie sztuczne, bez których w Birmanji żaden festyn się nie obejdzie. Na werandę wniesiono ławki,

tylko dla muzy[illegible] tym razem obrano odleglejsze stanowisko od m[illegible]iejsca, w którem mieliśmy zasiadać. Niedługo zeszli się widzowie i uczestnicy festynu, na murawie pred domem rozpoczęła się zabawa, dziewczęta i młodzi chłopcy tańczyli ochoczo, grano w piłkę, w wolanta, wyprawiano ćwiczenia gimnastyczne, skoki, mocowania wreszcie, w czem Birmanie celują. Przed wieczorem zastawiono nam suty objad, sproszeni goście tymczasem raczyli się w oficynie narodowemi potrawami. Z ostatniem podaniem rozpoczęły się sztuczne ognie, i gdy wyleciał w powietrze ostatni bukiet ognisty, wystąpiłem ze swojem przedstewieniem.

Obchodząc rano gospodarstwo Shabundera dostrzegłem w jednym z fabrycznych budynków miedziane jaszczyki z żelaznemi kulami, zapewne używane do miażdżenia koralu. Chcąc Shabunderowi dać próbkę mojej umiejętności, wybrałem cztery jaszczyki z takąż ilością kul, kazałem je zanieść do siebie i Luglemu zporządzić z grubej trzciny rozczepionej na czworo, rodzaj lejków z długim na jeden metr trzonkiem, do których zastosował jaszczyki, ja zaś w moim pokoju przysposobiłem jeden z preparatów eksplodujących, którego sekret posiadam i który jest Birmanom zupełnie nieznany.

Lampy różnokolorowe i pochodnie oświetlały zieloną murawę, dom, drzewa i wody basenu, przy tej dekoracji z licznym tłumem widzów w głębi, Józef [illegible]ugle wyszli na środek trawnika, stanęli [illegible] kroków od siebie i wziąwszy każdy dwi[illegible]zciny, na znak przezemnie dany, zaczęli wyw[illegible]ać w powietrzu trzymając za rękojeść lejków. Wnętrze lejków wysmarowane było materją, która nie wywoływała natychmiastowego wybuchu, i po niej mogły się suwać kule żelazne i kilkanaście małych kamiennych gałek, jakiemi bawią się dzieci. Uwaga zgromadzonej ludności była cała zwrócona na moich dwóch adeptów, śledzono ich ruchy z największem zaciekawieniem, jakby w oczekiwaniu jakiego czaru. Na raz dają się słyszeć cztery wybuchy jeden po drugim, i tyleż kolumn ognistych tak białej światłości, że mogły iść w zawody z dziennym blaskiem, wylatuje w powietrzu rozrzucając w koło szczątki rozbitych kul i sypiąc prostopadle pod nogi moich dwóch chłopców małe gałki kamienne. Chwilę później krzyki i huczne brawa nastąpiły po ciszy zdumienia.

— Zostań z nami booghuy! zostań, będziem rozbijać skały, wiercić i wydrążać gory; ty się wzbogacisz — rzekł Shabunder ściskając mi konwulsyjnie rękę.

—Zostaw mię Maha mojemu losowi!—odparłem stanowczo.—Za pomocą angielskich władz wydostałem się z rąk moich nieprzyjaciół; oni mi użyczyli pomocy chociaż wiedzieli, żem tu przybył podkopać ich władzę, od tej chwili honor nakazuje mi zaniechać wszelkich projektów i czynności któreby wzbudzały niechęć Anglji, i to właśnie tam gdzie mnie wyratowała.

Ramię Shabundera opadło bezwładnie.

Na drugi dzień statek sir Artura Payr unosił nas do Rangun, z miłem wspomnieniem domu zacnej rodziny, po rzewnem i serdecznem pożegnaniu.

Koniec

TYDZIEŃ LWOWSKI.

VII.

Fizjonomja miasta naszego zmienia się powoli. Skończyła się epoka walnych posiedzeń najrozmaitszych towarzystw, goście nasi porozjeżdżali się do domów, pora odczytów tak licznych i tak urozmaiconych tego roku dobiega swego kresu, a do zmiany ogólnego charakteru miasta przyczynia się i wiosna, która posłuszna kalendarzowi zawitała w tym tygodniu na dni parę, i pospędzała śniegi.

Na porządku dziennym, tak w dziennikarstwie, jak też i w najszerszych kołach, jest wystawa krajowa rolniczo-przemysłowa. Wystawcy nadzwyczaj licznie się zgłaszają i już teraz na pewno twierdzić można, że przedsięwzięcie to uda się w pełnem znaczeniu tego słowa. Towarzystwo sztuk pięknych odłożyło na ten czas swą doroczną wystawę, co także nie mało się przyczyni do uświetnienia tej uroczystej dla kraju chwili. Gości będzie wtedy bardzo wiele i artyści pospieszą zapewne z najliczniejszym współudziałem. Wiemy z prywatnej korespondencji, że Siemiradzki nadeszle na pewno swe arcydzieło. Pochodnie Nerona.

* * *

(J.) W Poniedziałek d. 19 Marca odbył się ostatni z szeregu trzech odczytów o sztuce. Pan Zachariewicz, profesor Akademji technicznej, mówił o Architekturze, tej sztuce, tak ściśle związanej z codziennemi potrzebami życia, a mimo to, niestety, tak mało u nas znanej i uwzględnianej.

Dość spojrzeć na większość budowli naszego miasta żeby się przekonać jak mało o piękno architektoniczne u nas dbają. Zaledwie kilka gmachów znaleść można, które jako tako odpowiadają wymaganiom sztuki, większość to niezdarne bez smaku budynki, rażące oczy każdego choć trochę poczucia piękna mającego człowieka. — Gdzie leży przyczyna tego słabego rozwoju pojęć estetycznych w dziedzinie architektury? Oto, po prostu, w tym, że ogół nasz zamało jest oznajomiony z najpierwszymi zasadami tej sztuki i prawdziwie wdzięczni jesteśmy p. Zachariewiczowi że pierwszy zaczął nam w sposób przystępny, wykładać o tym przedmiocie. Żywe słowo, to najlepsza droga do zjednania mass; niech częstsze będą wykłady z tej dziedziny sztuki, a powoli i zainteresowanie się publiczności wyrobi.

Prelegent w krótkich słowach przedstawił stosunek tej sztuki do społeczeństwa, jej rozwój w ciągu wieków, wskazał najgłówniejsze momenta tego rozwoju i jego podstawy w społeczeństwie. wykład był jasny i nadzwyczaj systematycznie ułożony, to też słuchacze podziękowali prelegentowi oklaskiem równie serdecznym jak ten którym witali go wchodzącego na mównicę.

Zauważyliśmy jednakże, że pierwsze rzędy zajęte przez tych którzy powinni być mecenasami sztuki były dość puste... ale też za to mniej było spóźniających się i przeszkadzających słuchaczy...

* * *

(A.) Wtorkowe posiedzenie Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika było nader ożywione. Cztery wykłady zapisane na porządku dziennym, zajęły licznie zgromadzonych członków.

P. prof. Fabian mówił o swych nowych, a nadzwyczaj zajmujących poszukiwaniach nad sprężystością lodu. Prelegent dowiódł doświadczalnie że twierdzenie Tyndalla jakoby lód nie był sprężysty, jest mylne i że używając dokładnych przyrządów można z największą dokładnością tę własność lodu skonstatować.

B. Abakanowicz mówił o nowej gwieździe odkrytej przez J. Schmidta w konstelacji Łabędzia. Czytelnicy znają ten przedmiot z kroniki naukowej Tygodnia, umieszczonej w jednym z poprzednich zeszytów.

Pan E. Bandrowski zdawał sprawę ze swych poszukiwań nad kwasem acetylenowym.

Nakoniec p. prof. Radziszewski mówił o dalszych swych badaniach odnoszących się do ciał świecących na zimno, do tak zwanych ciał fosforescencyjnych. O pierwszych wynikach tego znakomitego odkrycia zdaliśmy już sprawę w Tygodniu. Obecnie p. Radziszewski doszedł do daleko znaczniejszych rezultatów i już odkrył trzydzieści kilka ciał takich które świecą w ciemności. Szanowny profesor, wziął się z zapałem do pracy na tem nieznanym polu i praca ta wydała nadzwyczaj obfite, a dla nauki ważne owoce.

* * *

(T.) W teatrze nowe jednoaktówki sypią się gradem. Po „Kaloszach“ hr. Jana Aleksandra Fredry, które w pozaprzeszłym tygodniu grano w salonach pana namiestnika, a które w przeszłym tygodniu ukazały się na scenie lwowskiej, mieliśmy już „W Krynicy,“ komedyjkę autora „Kłopotów starego komendanta“ i „Za panią matką idzie pacierz gładko,“ przysłowie dramatyczne przez hr. Łączyńskiego. Komedyjka „W Krynicy“ odznacza się bardzo wiernem tłem kąpielowego życia, wygląda jednak bardziej na udramatyzowaną powiastkę, niż na komedję. Przysłowie dramatyczne hr. Łączyńskiego ma żywszą akcję, ale brakuje jej miejscowego kolorytu. W piątek ma być przedstawioną nowa komedja p. Michała Bałuckiego. Z Krakowa nadeszła wiadomość o zwycięztwie, które odniosła na konkursie komedja p. J. Blizińskiego „Pan Damazy.“ Komedję tę zapewne także niebawem ujrzymy na scenie. Jednem słowem na brak oryginalnych komedji i komedyjek nie możemy się oskarżać, atoli musimy się upomnieć u dyrekcji teatru, aby także o dramacie i tragedji nie zapominała. Szekspira nie widzieliśmy Bóg wie jak dawno; mając takie talenta, jak p. Ładnowski, nie godzi się im dawać leżeć odłogiem.

LISTY DO PRZYSZŁEJ NARZECZONEJ.

(Dokończenie).

Trzeba kochać...

Ej, nie tak to trudno jak się zdaje! — pomyślałem sobie, składając list napisany; już czuję jak mnie coś korci, żeby iść do nich i samemu list odnieść; już widzę czarne oczy przebiegające żywo po papierze i serce mi bije silniej na myśl, że doszedłszy do ostatnich słów: „trzeba kochać“ moja czytelniczka może powiedzieć z westchnieniem:

— Nie tak to łatwo jak się zdaje!

Brr... aż mnie mrowie przeszło po skórze, takie zimne, czarne oczy zobaczyłem przed sobą. Czy ona mnie wcale nie kocha?... Sprobójmy!

Nie byłem już teraz tyle naiwny, aby próbę

*

robić na balu. Postanowiłem skorzystać z prostej wizyty po wysłaniu listu poprzednio. Rozumowałem teraz w ten sposób: jeżeli kocha, musi być zazdrośną.

Zatem — do dzieła! Obmyśliłem sobie plan doświadczenia i z dobrą miną wszedłem do salonu.

Moja pani siedziała nad drzewkiem, którego rysunek wyobrażał kawałek morza i kawałek brzegu piaszczystego. Przerwany łańcuch wisiał u pnia wbitego w ziemię, a z boku jednym końcem zatopiona w piasku sterczała żelazna kotwica.

— Jak się panu podoba ten obrazek? rzekła po przywitaniu.

— Dziwnie smutny.

— Dlaczego? Wszakże to symbol nadziei; a tam za morzem błyska wschodzące słońce...

— Tak, ale ta nadzieja wsparta na piasku a słońce takie zimne i tak daleko!...

— Można je zbliżyć, jeśli pan chce?

— Jakto, można zbliżyć?... — zapytałem radośnie.

— Zapomocą głębszego wcięcia. Promienie wyjdą jaśniej i pełniej...

— A tak, za pomocą głębszego wcięcia — powtórzyłem machinalnie. — Żeby to tak można...

— Ależ można, powiadam panu. A co do nadziei...

— Więc mogę mieć nadzieję?...—pochwyciłem w zamyśleniu.

— Możesz pan mieć cały obrazek, jak go skończę i każę odbić.—A mówiąc to, spojrzała mi filuternie w oczy, jak gdyby nigdy nic.

Byłem rozdrażniony i postanowiłem rozpocząć eksperyment, ażeby raz przecie wiedzieć, czego się mam trzymać. Miałem już przygotowany pierwszy frazes, gdy tymczasem ona wyprzedziła mnie:

— Bardzo jestem ciekawa, czy też pan się kiedy ożenisz?

— Dlaczegożby nie. Właśnie..

— Co właśnie?

— Właśnie chciałem się pani zwierzyć, jako życzliwej dla mnie i prosić o radę... (Słowa z trudnością przechodziły mi przez gardło, bo nie przywykłem do kłamstwa, ale postanowiłem zrobić swoje i mówiłem dalej): Znam pewną panienkę, bardzo ładną, bardzo ładną, bardzo wykształconą i...

Czarne oczy które, podczas tych słów były spuszczone, podniosły się teraz poważnie i patrzyły we mnie ze zdziwieniem.

— I bardzo ją pan kochasz? — spytała.

— Nad życie. Jestem przytem pewny że mam wzajemność. Kochała mnie bowiem pierwej jeszcze nim ja ją pokochałem. Znaliśmy się od dzieciństwa, lecz z początku lubiłem ją tylko, potem przywiązałem się do niej, bo jest dobrą, poczciwą, serce ma złote a oczy takie niebieskie, jak najpiękniejszy błękit nieba... potem przekonałem się, że uczucie rośnie zwolna ale bezustannie, że ciągle o niej tylko myślę...

— Że nie możesz pan żyć bez niej i t d... A często ją pan widujesz?

— Ostatni raz... wczoraj... byłem u nich na wieczorze tańcującym... odpowiedziałem, jąkając się.

Przeciwniczka moja zamyśliła się przez chwilę i nagle wybuchnęła głośnym śmiechem.

— A kiedyż pan list pisałeś?... Wczoraj popołudniu nie był jeszcze zaczęty, a dziś rano odebrałam go.

Złapała mnie na kłamstwie — nie było co wykręcać się.

— Pani — rzekłem—przebacz mi, że chciałem grać komedję. Kocham cię i chcę wiedzieć, czy mogę być kochanym?...

— To zależy od temperamentu, od charakteru, od stanu zdrowia, od asocjacji wrażeń przyjemnych... a ja tego wszystkiego nie umiem ocenić. Młode panny nie mogą wiedzieć, czy kochają, czy tylko ulegają złudzeniom... Mogę panu tylko tyle powiedzieć, że apetytu wcale nie straciłam, sypiam doskonale, zazdrośna jak pan widziałeś nie jestem..

— Pani żartujesz sobie ze mnie a mnie to boli. Zresztą, nie mam prawa wymagać współczucia...

— Psychologicznego? Naturalnie, byłoby to zawcześnie. Ale to wstyd, że pan, który tak wymownie o niem piszesz, sam go nie posiadasz, w przeciwnym bowiem razie wiedziałbyś, że twoje doświadczenie z zazdrością było zupełnie niepotrzebne...

— Było niepotrzebne... powtórzyłem smętnie.

— Tak jest, było niepotrzebne, ponieważ widując mnie prawie codzień, powinieneś pan był odczuć psychologicznie że...

Resztę dokończyło spojrzenie.

— Że mnie pani kochasz! — zawołałem radośnie, okrywając pocałunkami obie rączki, których mi wcale nie broniła. Przeciwniczka moja utrzymywała wprawdzie, że zupełnie co innego myślała, że jestem zbyt pospieszny w wyprowadzeniu wniosków indukcyjnych, że jest to tylko moja hipoteza, nie poparta nawet dostateczną ilością faktów, że wewnętrzne poczucie świadomości ulega licznym złudzeniom, o ile przechodzi od *ja* do *nieja* — ale rączek nie cofała.

Było nam tak dobrze!...

W kilka dni potem postanowiliśmy uzupełnić obustronną znajomość naszych charakterów. Wyspowiadałem się mojej pani ze wszystkich wad i słabostek, ze wszystkich błędów mojej młodości, które nieraz surowe wywoływały napomnienia, ale po których szczerem wypowiedzeniu tak mi było lekko na sercu, jak po prawdziwej spowiedzi. Wyznałem jej, że jestem niekiedy uparty, zarozumiały, gderliwy, wymagający etc. Ona zaś...

Ale to już tajemnica redakcji.

Wolno mi jest powiedzieć tylko tyle, iż na jej wyraźne żądanie musiałem opisać punkt po punkcie cały charakter mojej wrażliwości, mojej umysłowości, moich uczuć i woli, tak jak on mnie się samemu przedstawia, a ona, wprawdzie dopiero po bardzo usilnych moich prośbach, uczyniła toż samo odnośnie do siebie. Te dwa „portrety psychologiczne“ wymieniliśmy zamiast pierścionków — i tak się odbyły nasze prywatne zaręczyny. Urzędowe nastąpić miały dopiero po piątym liście.

LIST V.

Moja droga, kochana, jedyna!

Zgodziwszy się na to, że małżeństwo jest spółką duchową, powinniśmy spisać warunki kontraktu. Zaczynam od postawienia moich, a są one następujące.

1. W stosunkach naszych ma panować bezwzględna szczerość, i chyba chwilowo tylko może jedno mieć przed drugiem tajemnicę.

2. Wszelkie nieporozumienia pozostają tylko między nami i mają być usuwane zwolna, bez pośrednictwa osób trzecich.

3. Żona musi być przygotowaną na to, że fundusze nasze będą ograniczone, a tem samem, że wielu kosztownych przyjemności będzie musiała się wyrzec.

4. Ponieważ dochod mój oparty będzie na pracy umysłowej, będę potrzebował przez pewną część dnia spokoju, który może być dla żony uciążliwym.

5. Z rodzaju tej pracy, jako literata, wynikają różne objawy zawiści i urazy, z któremi żona oswoić się musi.

6. Wszelka przykrość wyrządzona jednej stronie przez drugą mimowolnie nawet, nie powinna być znoszoną w ukryciu, lecz strona dotknięta powinna otwarcie i łagodnie wypowiedzieć swą urazę, celem usunięcia podobnych nieprzyjemności na przyszłość. *)

Twój do śmierci

* * *

Umowę tę sam odniosłem. Przeczytała ją uważnie, a oczy jej zwilżyły się łzami, gdy podając mi swą bieluchną rączkę rzekła:

— Zgadzam się na wszystko.

Przygarnąłem ją do siebie i pierwszy gorący pocałunek złożyłem na jej czole.

Po chwili wysunęła się z moich objęć, a poczciwa jej twarzyczk[illegible]wiła się nie[illegible]innym rumieńcem.

Teraz, rzekłem, radbym i twoje warunki usłyszeć...

Roześmiała się przez łzy i spojrzała w przestrzeń:

— Moje warunki? dobrze, postawię i ja moje warunki. A nie myśl że będą łatwe — bardzo trudne!...

— Czekam z niecierpliwością.

— A więc... żądam po pierwsze... żebyś mnie kochał.

— Powtóre?

— Powtóre: żebyś mnie *bardzo* kochał!

— Doprawdy nie dam rady! Będę się musiał przezwyciężać. A po trzecie?

— Po trzecie; żebyś mnie *zawsze* bardzo kochał...

Mogę zapewnić łaskawego czytelnika, że drugi pocałunek był jeszcze gorętszym od pierwszego.

— Mateczko pobłogosław! — zawołała moja wspólniczka, wbiegając do drugiego pokoju i rzucając się matce w objęcia.

— To mój narzeczony!

Ze łzami w oczach przytuliła nas matka do serca, pobłogosławiła i przeżegnała. A jakim był dla nas trojga ten wieczór wiosenny, tego dodawać nie potrzebuję, bo byś tego nie zrozumiał czytelniku, jeżeli sam nie kochałeś — a jeśliś kochał — zrozumiesz i bez mej pomocy.

W taki to sposób idea mojej narzeczonej „z krainy marzeń przeszła w rzeczywistość.“

Koniec.

---

*) W notatce mojej do tej umowy, podany był jeszcze jeden warunek: „w razie gdyby jedna strona przestała kochać drugą, mieliśmy się rozejść spokojnie za wspólną zgodą, bez żadnych scen gwałtownych“. Warunek ten zapisałem sobie wtedy, kiedym jej jeszcze niekochał tak jak dzisiaj, dziś czuł[illegible]n, że byłby on pustym frazesem tylko, bo na samą myśl o takim obrocie rzeczy, krew zakipiała mi w żyłach. Punkt siódmy został zamazany.

MIESZKANCY INNYCH ŚWIATÓW.

Pogadanka naukowa.

To dziwactwo! powiesz łaskawy czytelniku zajmować się mieszkańcami światów o miljony mil odległych, światów na które się nigdy nie dostaniemy i które na zawsze tylko jedynie dla oka naszego będą dostępnymi. Powiesz że wszystkie nasze przypuszczenia będą tylko płodami wybujałej fantazji, że wprowadzimy na scenę „selenitów“, owych domniemanych mieszkańców księżyca, albo inne jakieś postacie ulepione à la Jules Verne, lub też jakieś media spirytystyczne. Broń Boże! Owszem, mamy zamiar opierając się trzeźwych badaniach zrobić jeden krok w głąb owego nieznajomego państwa, tak często odwiedzanego w fantazji, i to właśnie dla tego tak często, że w rzeczywistości dostęp tam jest niemożliwy.

Co się też dzieje na ciałach niebieskich zawieszonych w przestrzeni zewnątrz naszej ziemi; czy są tam twory organiczne choć w części do naszych podobne? Czy mogą tam istnieć jestestwa organiczne odpowiadające ludziom na ziemi? Albo też może są tam istoty więcej rozwinięte; może w tym stopniu do jakiego my za wiele wieków doskonaląc się dójdziemy? A może też było tam niegdyś życie i wygasło już zupełnie, jak z czasem i na ziemi naszej wygaśnie? Są to pytania, które gwałtownie nasuwają się na myśl każdemu patrzącemu i badającemu te światy odległe, i które od najdawniejszych wieków pobudzały fantazję nietylko poety, ale i naspokojniej, najzimniej na świat patrzących przyrodników.

Historja tych rozmaitych zapatrywań opartych na działaniu wybujałej fantazji, albo też na ściśle naukowem badaniu, jest nadzwyczaj bogata. Spotykamy różne poglądy na tę sprawę tak u Talesa i Pitagorasa, jak i u najnowszych badaczy.

Z pomiędzy nowoczesnych badań, najwięcej przybliżoną i prawdopodobną odpowiedź na powyższe pytanie, dał astronom francuski Kamil Flammarion, jeden z najzdolniejszych i najwszechstronniejszych pisarzy francuskich. Stał się on pod pewnym względem specjalistą w tym przedmiocie i wiele prac w tej dziedzinie wydał. Jego dzieło najrozgłośniejsze: „La pluralité des mondes habités*)“ doczekało się w przeciągu lat dwunastu, dwudziestego pierwszego wydania, i pomimo, że w książce tej spotykamy się nieraz ze sprzecznymi z naszymi poglądami filozoficznemi, to jednak tyle tam sumiennych i ciekawych faktów, tyle myśli niepospolitych, za dzieło to polecić możemy do czytania każdemu wykształconemu czytelnikowi, który zdrowe jądro potrafi odróżnić od złej i schorowanej łupiny.

Jeżeli zechcemy, tak jak Flammarion uchylić kraj zasłony zakrywającej te tajemnice i zrobić krok naprzód w tej nieznanej krainie, to przedewszystkiem chodzić nam będzie o to, czy jest możliwe życie organiczne zewnątrz naszej ziemi; naturalnie że mamy tu na myśli życie takie które znamy z doświadczenia na ziemi, — to nasze życie codzienne, któreśmy już do pewnego stopnia zbadali. W każdym razie trzeba mieć to na względzie, że rozwiązując tego rodzaju kwestje duch ludzki mieć będzie zawsze do czynienia z wielkościami nieznanemi, których ściśle oznaczenie usuwa się na zawsze z naszej mocy.

Trzeba więc być nadzwyczaj ostrożnym w przypuszczeniach, i nie puszczając wodze fantazji, trzymać się najściślej faktów naukowych; trzeba być trzeźwym w najściślejszem tego słowa znaczeniu.

Wszystko to co wiemy o wszechświecie da się sprowadzić do następujących dwóch punktów: I° Wiemy już od czasów Newtona, że świat cały rządzi się jednemi i temi samemi prawami mechanicznemi. Wiemy, że te siły, które rządzą ruchem materji na ziemi, panują i w najodleglejszych światach. II° Dzięki wspaniałemu odkryciu rozbiorów widmowych, tego sposobu poznawania składu ciała z promieni światła, które te ciało wysyła, wiemy także, że wszystkie ciała niebieskie złożone są z tych samych pierwiastków, które i na naszej ziemi znajdujemy. Oprócz tych dwóch rzeczy pewnych nic prawie więcej nie wiemy i dla tego też nie będziemy się już zastanawiać dłużej nad ciałami zewnątrz naszego układu słonecznego leżącemi, a ograniczymy się na tej wyspie w przestrzeni, którą właśnie nazywamy słonecznym układem. Tutaj jest już daleko więcej danych, ciała są stosunkowo bliskie, a przepyszne teleskopy pozwalają nam je jeszcze znacznie przybliżyć.

Nazwaliśmy nasz układ słoneczny, tj. słońce z krążącemi około niego planetami—wyspą; nazwa ta jest najzupełniej odpowiednia, bo dość jest porównać rozmiary tego układu, z odległością najbliższej gwiazdy stałej. Neptun jest planetą najbardziej od słońca odległą, bo około 600 miljonów mil, a tymczasem najbliższa gwiazda stała leży 7.000 razy dalej od słońca, a 220.000 razy dalej niż nasza ziemia. Jednakże i te wielkie odległości znikają zupełnie, i nie wydają się większemi jak najmniejsza odległośó na ziemi, jeśli je tylko porównamy z odległościami przypuszczalnemi innych gwiazd rozrzuconych w nieskończonej przestrzeni.

Jakżeż małą wydaje się nam ten atom, ta ziemia nasza, skoro tylko do niej powyższą miarę zastosujemy, i jak nieskończenie małym jest człowiek, syn ziemi, którego duch jednak potrafi objąć rzeczy największe i tylko jedna nieskończoność stawia myśli jego granicę nie do przebycia!

Już oddawna rzucono do kosza przekonanie, że ziemia nasza jest „najlepszym ze światów;“ wiemy już doskonale, że nie jest tak dobrze jakby być mogło: weźmy naprzykład pod uwagę księżyc, tego naszego towarzysza spełniającego obowiązek przyświecania nam w nocy. Obowiązek ten wypełnia on bardzo niedokładnie, i gdyby to było w naszej mocy, tobyśmy mu na pewno wyznaczyli jeszcze *ad hoc* parę ciał takich do towarzystwa. Życzylibyśmy sobie także zmiany nachylenia Ekliptyki tj. nachylenia osi ziemskiej do płaszczyzny, w której ziemia krąży około słońca. Wiadomo, że różnica wielka między porami roku polega na tem pochyleniu wynoszącem $23^1/_2$ stopnia i gdyby tego pochylenia nie było, tobyśmy w naszych strefach mieli wieczną wiosnę. Bezpośrednim następstwem tego byłoby przedłużenie życia; bo napewno trwanie życia zwiększyłoby się razem z ujednostajnieniem funkcji życiowych.

Gdyby ten projekt był poddany pod głosowanie ludzkości, to kto wie, czy nie zyskałby większości głosów? (C. d. n)

*) Wyszło w polskim przekładzie Wagi.

POGADANKI.

XXVII.

Nasze „liberalne“ dziennikarstwo daje dowody wielkiej nietolerancji, w obec niezgody, jaka wybuchła w świecie muzykalnym i kościelnym we Lwowie. Pp dziennikarze uważają snać wyprawianie *borb* za wyłączny swój przywilej, i gorszą się niepospolicie, jeżeli pianistom lub księżom przyjdzie ochota oddania się temu sportowi. Kronikarz *Dziennika Polskiego* dosiał nawet jakiegoś wymusztrowanego Pegaza przy tej sposobności, i zaklina muzyków dla większego efektu w rymach ażeby się pogodzili. Wątpię by odnieść mogła jaki skutek odezwa tego pana, który sam objawia taki brak wszelkiego zmysłu harmonji, że w jednej szpalcie mówi o cudownym instynkcie Ludwiki Lateau pod względem rozpoznawania świętości, a tuż obok przytacza starą myśliwską anegdotę o legawcu, co odczuł instynktem tablicę, zapowiadającą mu śmierć na wypadek, gdyby się odważył przekroczyć miedzę graniczną. P. kronikarz przypuszcza zapewne, że tak jak legawiec nie mógł dokonać podobnego czynu, chyba w bujnej wyobraźni myśliwca, tak też i Ludwika Lateau tylko w wyobraźni Warty posiadać może przypisywany jej dar nadprzyrodzony. I taki człowiek przywłaszcza sobie prawo do wydawania sądu. kto ma słuszność w sporze między *Piastem* a *Wiadomościami kościelnemi*, albo zwolennikami Marka i Mikulego! Juści, jeżeli legawiec nie mógł nauczyć się czytać, to Wieniawski mimo wszystkiego co twierdzą skrajni darwiniści, nie mógłby nauczyć małpy grać na fortepianie. A jednak póki niemożebność ta nie jest udowodnioną, nie wypada nam bawić się w niedowiarków. Owszem, wolno nam przypuszczać, że małpa potrafi grać Szopena, że Ludwika Lateau odróżni kość świętą od zwykłej, i że hr. M. D. obszedł się z ks. Stojałowskim, mówiąc słowami tego ostatniego, jak „z łotrem.“

Spory muzykalne i kościelne są w gruncie mniej nagannemi od dziennikarskich, te ostatnie obracają się zwykle około spraw politycznych wywołują w całym kraju rozjątrzenie, podział na stronnictwa itd. podczas gdy tamte stanowią tylko przedmiot niewinnej i pożądanej zabawy publicznej. Żałować tylko wypada, że *Dz. Polski* odmóodmówił umieszczenia dalszym artykułom treści muzykalno politycznej, i że *Piast* jakoteż *Wiadomości Kościelne*, należą do publikacyj stosunkowo tak mało rozpowszechnionych.

Bardziej już rozpowszechnionym jest *Czas* krakowski, który równie w rzeczach świętych, jak i muzykalnych stara się czasem o rozweselenie i zabawę szanownej publiczności. Posłuchajmy tylko. Odbył się w Krakowie koncert. Grała ks. Marcelina Czartoryska, orkiestra pod sterem p. Hofmanna „spływała w jeden akord harmonijny,“ śpiewał p. Niedzielski, śpiewała panna K. — jednem słowem, produkcja nie zostawiała nic do życzenia. Natomiast nie popisała się publiczność: jedni za późno przychodzili, drudzy wychodzili za wcześnie, inni rozmawiali za głośno, jednem słowem, zachowywano się szkaradnie, i *Czas* zgorszony jest słusznie i oburzony. Nie przypuszczałem wszakże, ażeby tak bogobojny organ, z powodu tak drobiazgowego w gruncie, posunął się w zapale aż do najoczywistszej herezji, do bluźnierstwa prawie.

„Jakto — woła on, dosłownie — więc mieszkańcom sfer niebiańskich nie przykrzy się słu-

chać powtarzanej od tylu wieków przez aniołów pieśni: *Sanctus, Sanctus, Deus Sabaoth!* a my małe robaczki nie możemy wytrzymać przez dwie godziny, gdy nas raczą *muzyką, która bądź co bądź jest lepszą pod względem artystycznym od owego hymnu?*"

Od czasu gdy Pan z niczego stworzył niebo i ziemię, i rozkazał aniołom śpiewać na wysokościach chwałę swoją, produkcje artystyczne tych skrzydlatych śpiewaków nie spotkały się z tak niekorzystną recenzją. Bądź że tu Cherubem, Serafem, Archaniołem, i śpiewaj! P. Hofmann weźmie do ręki laseczkę kapelmistrzowską, ks. Czartoryska zasiądzie do fortepjanu, p. Niedzielski i panna K. zaśpiewają, i oto — chociaż według *Czasu*, „chóry miejscami zdradzały niedostateczne przygotowanie," w najmniej muzykalnej mieścinie polskiej najpoboźniejszy organ polski odkrywa „muzykę, bądź co bądź lepszą od owego hymnu!" Lepszą od hymnu wieczności, melodyjniejszą od biegu eonów, harmonijniejszą od współdźwięku słońc i planet, krążących w niezmierzonej przestrzeni światów!

A propos, kochany Czasulku powiedz no, czy miałeś freikartę, czy też zapłaciłeś za miejsce, gdy słuchałeś w niebie owego hymnu, pod względem artystycznym „bądź co bądź" gorszego od koncertu w Krakowie? Lub też czyli przypadkiem, wstawszy zbyt rano i usiadłszy w ławce u Panny Marji, nie usnąłeś na nowo, i nie śniłeś, że jesteś w niebie, a organista tymczasem, baranim wywodził na chórze głosem: Hosanna in excelsis? Wolałbym mieć pewność, że to drugie moje przypuszczenie jest prawdziwem, i że w samej istocie nie słyszałeś aniołów śpiewających, bo wszak wiesz, że

„Kto za życia choć raz już był w niebie
Ten po śmierci nie trafi odrazu!"

A pięknaby też to była historja, gdyby kiedyś, po najdłuższem życiu szanownego staruszka krakowskiego, gruchnęła na raz wieść straszna, że nieboszczyk nie ma spokoju w grobie, ale za jakieś péchés mignons pokutuje, w czyśćcu i nocami turbuje żywych prośbą o pacierze!

A kto wie, może Czas nie słyszał aniołów śpiewająch, ani mu się nie przysłyszało, że ich słyszał, ale ot tak sobie napisał recenzję z palca wyssaną? Byłoby to fatalnem dla pośmiertnej jego karyery, jest w tem bowiem niezawodnie grzech śmiertelny. Nie wolno jest dawać fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu, a cóż dopiero przeciw aniołom! Ciekawa rzecz, jaka na to kara „przewidziana jest„ w kodeksie rzymskim?

Jan Lam.

BIBLIOGRAFJA
polska.

Chamski M. D. Nasze życie. Powieść współczesna w trzech częściach. Część pierwsza. Zeszyt 4, 5, 6. Toruń. Nakładem komisowym księgarni Nowej (W. Małeckiego) 1876.

Estkowski E. Elementarzyk ułożony wedle metody pisania i czytania. Część I. 8ka str. 49. Poznań. Nakład J. K. Żupańskiego, 1876. Oprawne 20 ct.

Gualdo Ludwik. Konstancja Gerardi. Powieść. Przełożył z włoskiego Edw. Sulicki. Tom I. 8ka. str. 141. Warszawa. Nakład M. Glücksberga, 1877. 60 ct.

Kosiński Amilkar we Włoszech 1795—1803 r. Zbiór materjałów do historji Legjonów polskich we Włoszech. 8ka str. 447. Poznań. Nakład J. K. Żupańskiego, 1877. 7·80.

Dr. Reveillé-Parise. Starość. Popularny wykład fizjologji, psychologji, medycyny i hygieny względnie do wieku starego. Przełożył dr. Fr. Olszewski. 8ka str. 380. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej, 1877. 4 złr.

W pierwszej części autor zajmuje się ogólnemi cechami organizmu ludzkiego i wskazuje zasadnicze różnice takowego w wieku młodym i starym, odmiany jakie zachodzą we wszystkich organach, jako to: w organach trawienia, krążenia krwi, oddychania, wszystkich zmysłów i t. d. W części drugiej zajmuje się stroną duchową człowieka: władze umysłowe, uczucia, miłość, namiętność, marzenia i t. d. a jak w części pierwszej wykazał, że organizmie ludzkiem z wiekiem wszystko się psuje i wiek stary nie może wytrzymać porównania z młodym, tak w części drugiej czyli w duchowej stronie człowieka prawie wszystko przemawia na korzyść wieku starego. W części trzeciej zajmuje się już chorobami, wskazuje ich przyczyny wpływające z osłabienia i zużycia organizmu, charakter chorób, ich przebieg, sposób postępowania z chorymi w wieku podeszłym. — W części czwartej nakoniec traktowanej najobszerniej, zajmuje się autor szczegółowo nad sposobami zaradczemi przeciwko chorobom. Jako główne prawidła stawia. I Umieć być starym, t. j. poznać co wiekowi temu właściwe, co szkodliwe a co pożyteczne. II Poznać dobrze naturę swego organizmu, skłonności. III Urządzić regularny tryb życia, stosownie do codziennych zajęć i usposobień. IV. Walczyć przeciw każdej chorobie w samym jej początku. Wyłożywszy należycie te kardynalne prawidła, autor przechodzi dalej do wykazania wszelkich szkodliwych i pożytecznych wpływów z tego co nas otacza i tak wpływ ciepła, zimna, wilgoci, wiatru, słońca, powietrza — a zawsze w zastosowaniu do wieku dojrzałego Dalej rozbiera pokarmy i napoje poszczególnie, odzienie, kąpiele, nacierania, i czystość ciała. Zastanawia się nad ważnością ruchu, jego skutków i korzyści. Sen i czuwanie w nocy. Dalej przepisy tyczące się sprawy rozrodnej. Obszernie traktuje o nałogach podaje rady pozbycia się szkodliwych jako i nabycia pożytecznych. Zajmuje się sprawą zmysłów, które najczęściej w wieku podeszłym są osłabione jak wzrok, słuch, powonienie i t. d. Nareszcie kończy uwagą o długowieczności i jej przyczynach.

Dr. Rosenblatt Józef. Powszechny kodeks handlowy wraz z ustawą wprowadzą, ustawa o stręczycielach i ustawa o organizacji giełd z uwzględnieniem odnośnych ustaw i rozporządzeń późniejszych. Opracowany i orzeczeniami Sądów najwyższych w Wiedniu i Lipsku objaśniony. 8ka str. 256. Cieszyn. Nakład Karola Malika, 1877. 2 złr.

Sadok Barącz ks. Pamiątki miasta Żółkwi. Drugie wydanie. 8ka str. 247. Lwów. Nakład wydawcy, 1877. 1·50.

Żywe słowa Jeremiego 1863—1877. 8ka. str. 119. Lwów. Nakład Karola Wilda 1877. 1·80

Zawiera: Obrona sądowa. — Na zgon rozstrzelanych w Irkucku — Improwizacja na cześć J. I. Kraszewskiego. — Słowo w stuletnią rocznicę konfederacji barskiej. — Mowa na zakończenie odczytów H. Schmidta. — Mowa na potrzebie Artura Grottgera. — Mowa w Rapperswyll. — Mowa na cześć Karola Libelta. — Głos na zgromadzeniu Ludowem. — Odpowiedź Czechom — Mowa w Brukselli. — Toast w Brukselli. — Mowa w Lordium. — Słowo na grobie żołnierza kościuszkowskiego. — Toast „kochajmy się." — Mowa przed wyborcami — Toast na cześć Wielkopolski. — Wstępne słowo do dziejów porozbiorowych. — Pamięci Traugutta, wiersz. — Mowa w Tow. artystów i literatów. — Toast "cieszmy się w Panu." — Wiersz w stuletnią rocznicę założenia drukarni. — Mowa w Samborze. — Przemówienie na cześć Seweryna Goszczyńskiego. — Mowa na pogrzebie Goszczyńskiego. — Przemówienie do M. Darowskiego. — Mowa na cześć Adama Mickiewicza. — Mowa w rocznicę powstania styczniowego. — Nasz orzeł, wiersz.

Wiadomości z kraju i ze świata.
Listy z kraju.

Zakład kąpielowy przy zdrojach słonych jodo-bromowych w Rabce.

(*Dokończenie*).

Komisja balneologiczna przyjąwszy wskutek tego sprawozdania wniosek ten do własnej dalszej czynności podała prośbę do c. k. władz rządowych o dozwolenie odkopania zasypanych źródeł i oddanie takowych na użytek cierpiącej ludności przedstawiwszy części składowe tych wód jako szczególnie drogocenny środek leczniczy, a równocześnie podał też właściciel dzisiejszy dóbr pan Juljan Zubrzycki prośbę do c. k. Ministerstwa skarbu o dozwolenie założenia przy wodach rzekomych zakładu kąpielowo-leczniczego.

Ministerstwo uwzględniając przedstawienie komisji balneologicznej zezwoliło na otworzenie zasypanych tych źródeł i oddało reskryptem z dnia 18go sierpnia 1861 do l. 71211/2627 właścicielowi dóbr źródła w mowie będące na zakład kąpielowo-leczniczy, a następnym reskryptem Dyrekcji skarbowej z dnia 20go października 1863 do l. 17385 dozwoliło mu rozsełać wodę tę w pakach jako artykuł handlu, i nawet reskryptem Ministerstwa z dnia 16go maja 1868 do l. 14717 prawo wywarzania soli lub ługów zgęszczonych z tejże wody uzyskał właściciel.

Już po pierwszym wyż rzeczonym zawiadomieniu ministerjalnem, szanowny właściciel dóbr polegając jedynie na zdaniu komisji balneologicznej i w poczuciu zrobienia krajowi przysługi rozpoczął dzieło, do którego, jak sobie to wystawić można, potrzeba było wielkiego poświęcenia tak pod względem trudów jak też i znacznego nakładu; powtarzam poświęcenia, bo niewidząc około siebie tylko obszar pola pustego i sączącą się w kilku miejscach wodę słoną, powiedzieć sobie: na tem miejscu za lat kilka lub kilkanaście staną tu wykopane studnie, łazienki, zabudowania mieszkalne, domy gościnne, sale do tańców, spacery, ogród itd. powstanie tu zakład kąpielowy; zakład, który wyłożonego nakładu w najlepszym razie dopiero po wielu latach jakiś procent nieść może, i to ktoby choć tylko skromny chciał zapewnić? to wszystko wydawać się mogło jak wieść z tysiąca i jednej nocy, bo to wymaga wielkich nakładów przewyższających siły jednego człowieka, jednego właściciela dóbr; a jednak niezmordowana chęć w dokonaniu dzieła zamierzonego doprowadziła do tego, że po dwóch latach odkryto, ocembrowano, dachem pokryto pięć studzien, którym nadano nazwy: Zdrój Rafaeli, Marji, Krakusa, Kaźmierza i Heleny, i była to też nie mała praca, zważywszy głębokość studzien i mozolne wyciąganie różnych drzew, pniaków, kamieni, któremi dawne te studnie zapełnione były, do czego były jedynie pomocne cembrzyny stare obszerne w studniach tych znalezione i które były w stanie tak zdrowym, jak gdyby przed rokiem, a nie przed paru wiekami kładzione były.

Prędko dokonane uporządkowanie tych studzien miało ten skutek, że już po dwóch latach pracy stanął dom łaziebny, urządzono łazienki do kąpiel i w r. 1864 już otworzony był zakład jakkolwiek na małą skalę, a jednak chociaż bez ogłoszenia nawidziło Rabkę kilkadziesiąt osób.

Uporządkowanie to studzien i urządzenie wodociągów było atoli jednym dopiero stopniem do dopięcia celu; skoro już bowiem odkopano źródła zawezwany magister farmacji śp. Adolf Aleksandrowicz z Krakowa do badania i uskutecznienia rozbioru chemicznego ilościowego, dokonawszy czynności opisał wynik tego rozbioru, który wraz z opisem miejscowości, który też w broszurze z roku 1866 drukiem ogłoszony został.

Według tego chemicznego rozbioru wody z trzech zdrojowisk Rafaeli, Marji i Krakusa tak pod względem przymiotów fizycznych jak badania jakościowego wód – pomijając tu wykaz składników pojedynczych jak też i rozbiór ilościowy tychże, w nadmienionej broszurze wyszczególniony – okazało się: 1) że woda z powyż przytoczonych trzech źródeł zawiera w sobie jednakowe składniki, a ponieważ znajduje się w niej w przeważnej ilości chlorek sodu, w umiarkowanej węglan sodowy, tudzież jodek sodu i bromek sodu, przeto ze względu ściśle chemicznego należy ją uważać za wodę alkaliczną — słoną, jodowo — bromową. 2) że porównywując te trzy zdroje między sobą, niewielką między niemi dostrzedz można różnicę i to nietylko pod względem ilości składników, ale nawet co do pojedynczych pierwiastków. 3) że z zestawienia zdrojów Rabczańskich ze zdrojami Halskim i Kreuznachskim okazuje się, że Rabka ogólną ilością składników oba pomienione zdroje znacznie przewyższa, albowiem kiedy w jednym funcie wody Rabczańskiej znajduje się składników zsiadłych 187—189

ziarn, zdrój halski zawiera ich 103, a zdrój Kreuznachski około 91 ziarn. 4) że gdy pod względem ilości jodu i bromu dotąd pierwsze zajmowała miejsce solanka halska, zdroje Rabczańskie nie ustępują jej w tem bynajmniej, bo jodu zawierają prawie tyle co ona, a bromu nie równie więcej, przeto przyznać trzeba wodzie Rabczańskiej, iż ona pod względem ilości chlorku sodu, tudzież połączeń sodowo-bromowych pomiędzy solankami tego rodzaju pierwsze zajmuje miejsce.

To samo co o zdrojach hallskich powiedziano, zastosować się da i co do wóp tego rodzaju — Iwonickich.

Następująca tabelka porównywająca główne składniki wód Rabczańskich z dwóch zdrojów z wodami Iwonicza ze źródła Karola i Amalji, tudzież z wodą Heilbron ze źródła Adelajdy uwidocznia na korzyść Rabki znaczną tę różnicę:

W funcie wody 7680 ziarn zawiera:	Rabka		Iwonicz		Heilbron
	źródło Marji	źródło Rafaeli	źródło Karola	źródło Amalji	źródło Adelajdy
związków chlorowych	176,5185	176,5185	64,3338	60,5513	38.0684
związków jodowych	0,3502	0,2911	0,1291	0,1188	0,2198
związków bromowych	0,5673	0,4999	0,1772	0,1755	0,3678

Tak pomyślny rezultat chemicznego rozbioru trzech zdrojów Rabczańskich, bowiem trzy inne nie są jeszcze dotąd rozbierane - był bodźcem dla właściciela, że niepoprzestał na początkowych w pierwszych latach poczynionych urządzeniach, lecz bez przestanku postępując w raz powziętym zamiarze przywiódł sławę zdrojów Rabczańskich i zakładu w ogóle do tego stopnia, że jakkolwiek najmłodszy w kraju — bo pierwszy raz w r. 1864 dla publiczności otwarty — dziś nie ostatnie miejsce między zdrojowiskami zajmuje i słusznie, bo posłuchajmy co dotąd stanęło na placu, który był przedtem pastwiskiem i pustem polem tylko. Dziś zobaczysz tam sześć studzien należycie pokrytych z narządem wodociągów, stoją tam gmach piętrowy łazienny o 20 pokoikach na parterze i 30 pokojach na piętrze, dalej już trzynaście domów w połowie piętrowych mieszkalnych należycie, a niektórych nawet elegancko umeblowanych, w niektórych urządzono kuchnie, a jest wszystkich mieszkań już przeszło dwieście: stoi traktyjernia, w niej oprócz sali jadalnej sala bilardowa, stoi dom z wielką elegancką salą z fortepjanem dla zebrań, porobione są chodniki cieniste, przyległy lasek świerkowy uprzyjemnia gościom pobyt południowy, jest w miejscu kaplica, gdzie co dzień msza św. się odprawia, jest zresztą lekarz zdrojowy, czytelnia osobna, apteka, poczta, stacja telegraficzna, a nawet i sklep z artykułami codziennej potrzeby domowej w miejscu zakładu. Cóż więc jest gdzie indziej więcej? i czegóż tu brakuje? jest wszystko co zakład wymaga, a choć to wszystko w mniejszej ilości niż gdzie indziej, to trzeba przypomnieć sobie, że i Kraków nie odrazu zbudowano; inne zakłady od wieku istniejące, i niektóre na akcjach założone nie mogą niekorzystnie oddziaływać na zakład Rabki — przez jednego przedsiębiorcę i to od 13tu dopiero lat założony, i z wód swych mało znany; niech publiczność co rok większy bierze udział w korzystaniu z wód zdrowiodajnych Rabczańskich, a i zakład co rok się rozszerzać i rozwijać będzie.

Lecz i pomimo to poszczycić się może Rabka nadspodziewanie pomyślnym rezultatem swego rozwoju kąpielowego, co rok bowiem powiększa się ilość gości na kuracje do Rabki przyjeżdżających, gdy bowiem w pierwszych latach bawiło tu osób ledwie do dwóchset, w ostatnich latach 1874 -1876 wzrosła liczba już blisko do 600 osób kuracji używających, nielicząc w to, jak to gdzieindziej się dzieje, osób chwilowo zakład odwiedzających.

Już sama ta liczba dla zakładu dopiero co powstałego, a nadewszystko ta okoliczność, że takowy oprócz okolicznych zwiedzany bywa przez osoby z dalekich stron, jak z Litwy, Wołynia, Królestwa polskiego przybywających, i z zadowoleniem wyjeżdżających, tudzież co rok sprawozdanie lekarza zdrojowego o przebiegu skutków kuracji wydawane, w którem jako przykład niektóre ważniejsze pomyślne kuracje przedstawione bywają, świadczą tak o skuteczności wód zdrowiodajnych Rabczańskich jako też i dostatecznym urządzeniu zakładu. Jeżeli więc publiczność zamiast wydawać pieniądze w obcych krajach na kurację przy mniej skutecznych wodach, zostawić je w kraju swoim, to i właściciel mogąc większym kapitałem rozporządzać, będzie mógł zarazem wszechstronniej zakład swój rozwinąć, tak pod względem leczniczym, jak i pod względem uprzejemnienia czasu przebywającym w Rabce gościom.

Literatura i sztuka.

— Szlosser, „Dzieje powszechne“ tom 17. Przekład z najnowszego wydania niemieckiego pod redakcją Bronisława Komorowskiego. 8ka str. 660. Cena w prenumeracie 2·50. Tom ten zawiera i krótki przegląd głównych kierunków w literaturze pierwszej połowy 18 wieku. Austrjacka wojna sukcesyjna. Dzieje wewnętrznych stosunków państw europejskich w połowie 18 wieku. Czasy siedmioletniej wojny. Ruchy w kościele katolickim i walki rządów katolickich z jezuityzmem i papizmem. Reformy państwowe, które w drugiej połowie 18 wieku monarchowie i ministrowie wykonali lub usiłowali wykonać. Rossja, Polska i Turcja w czasie pierwszego rozbioru Polski. Zewnętrzne sprawy Anglji aż do czasów starszego Pitta i odpadnięcia amerykańskich kolonji. Anglja i jej stosunek do reszty Europy 1778—1781. Preludjum do francuskiej rewolucji w Belgji, Holandji i Francji. Pogląd na stan i kierunek angielskiej i niemieckiej literatury i oświaty od połowy 18 wieku aż do rewolucji francuskiej. Literatura i oświata w Polsce. Dzieje powszechne Szlossera są wydawane nakładem Księgarni Polskiej w celu zebrania funduszu na oświatę ludu, dochód po rozprzedaży wszystkich egzemplarzy obliczony jest na 17.000 złr., pomimo, iż wydawnictwo to jest najtańszem ze wszystkich znanych wydawnictw u nas. Dzieje powszechne rozpoczynają szereg wydawnictw pod naz. „Bibljoteki Historycznej,“ w której w dalszym ciągu są zapowiedziane: Mateusza Gralewskiego, „Kaukaz,“ wspomnienia z dwunastoletniej niewoli; Peschla, „Historja odkryć geograficznych;“ Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża) „Historja ludów słowiańskich;“ Röppla, „Pierwsze wieki dziejów polskich.“ Na poważne to wydawnictwo zwracamy uwagę czytelników, a to szczególniej z tego względu, że obecnie można jeszcze otrzymywać je w cenie prenumeracyjnej nadzwyczajnie niskiej (o połowę taniej jak cena sklepowa) i że liczba drukowanych egzemplarzy jest ograniczoną, a po wyczerpaniu takowych nie będzie równie dobrej sposobności zaopatrzyć się w podręcznik dziejów powszechnych, gdyż innego w literaturze naszej nie posiadamy, a o rychłem nowem wydaniu tak kosztownego dzieła i mowy być nie może.

— Ostatnie wytłumaczenie pochodzenia nowego tytułu królowej angielskiej, a obecnie cesarzowej indyjskiej, brzmiącego Kaiser-I-Hind, podane było w „Timesie“ przez Earla of Winchelsea. Twierdzi on, że słowo Kaiser (polskie: cesarz) nie jest pochodzenia etruskiego, łacińskiego, greckiego, arabskiego lub niemieckiego, lecz punickiego. Juljańska familja otrzymała ten tytuł oznaczający słonia po upadku Kartageny. Zrobiono to dla „powiększenia zaszczytu.“ Dzisiejszy więc tytuł królowej Wiktorji brzmiałby dosłownie: „słoń indyjski.“

— Kilka sztuk Szekspira odegrała w Delhi trupa miejscowa w języku hindustańskim.

— O dziennikarskim ruchu w Japonji daje zajmujące szczegóły w „Bibliographie de Belgique,“ baron Albert d' Anethan, sekretarz belgijskiej legacji w Jokohamie. Podług tego sprawozdania, istnieje w Japonji około pięćdziesięciu gazet; w samem Tokio, jest ich przeszło 20. Dziennikarstwo japońskie, urządzone jest zupełnie podług wzorów europejskich prasy; są pisma poważne, humorystyczne, ilustrowane, satyryczne, przeglądy, gazety przeznaczone specjalnie dla kobiet, jednem słowem, wszystkie rodzaje i działy. Stan taki dziennikarstwa datuje dopiero od lat pięciu; przedtem wychodziły tylko małe broszurki o kilku kartkach i to nieregularnie i zawierały nic nieznaczące wiadomostki. Dzisiaj co za zmiana. Najznaczniejsze codzienne gazety są: „Nichinichi Schimbun,“ „Hochi Shimbun,“ „Choya Shimbun,“ „Akebono Shimbun,“ „Nisshin nishin chi Shimbun.“ Cena abonamentowa wynosi od 6 do 8 rios (gul. 13 do 8) rocznie. Każda z gazet ład od 2.000 do 9.500 numerów dziennie. „Jomeouri Shimbun,“ czytany głównie przez kobiety, liczy 12.000 prenumeratorów i kosztuje rocznie 2 rios ($4^1/_2$ gul.) Prawie wszystkie dzienniki drukują się na papierze belgijskim i za pomocą maszyn w Europie używanych. Do kilku tylko publikacyj używany jest papier japoński i drewniane czcionki. Widzimy więc z tego, że Japonja, nietylko że się wyróżnia swoją cywilizacją od reszty azjatyckich krajów, ale nawet skutecznie może rywalizować na polu umysłowej pracy, z wieloma państwami, berło oświaty trzymającej Europy.

— Sławny skrzypek i kompozytor, Józef Joachim, d. 10. bm. w solenny sposób przyjął od wszechnicy w Cambridge honorowy tytuł „doktor muzyki.“ Bardzo liczna a doborowa publiczność brała udział w tej uroczystości. Sam doktor muzyki wystąpił przy tej sposobności w długiej szkarłatnej szacie z błękitną narzutką. Orator publiczny przedstawił go wicekanclerzowi wszechnicy mową łacińską, w której podniósł wielkie zasługi Joachima położone około muzyki. Wieczorem odbył się wielki koncert, którego program składał się z uwertury, umyślnie na ten dzień napisanej przez Joachima, i z nowej symfonji Brahmsa.

— Pan Z. Glogier zebrał 572 krakowiaki, już to z pieśni ludu, już to z drukowanych źródeł. Krakowiaki te obecnie wyszły z druku nakładem pana Jana Noskowskiego właściciela drukarni i wydawcy. Praca pana Glogiera, będzie ważnym przyczynkiem, a raczej materjałem do studjów nad poezją ludową: są w niej prawdziwie poetyczne zwrotki, jak np.

Porachuj dziewczyno
Gwiazdeczki na niebie,
Tylem ja wydeptał
Ścieżeczek do ciebie.

— „Vossische Ztg.“ donosi, że dnia 23 z. m. w sali Akademji śpiewu (Singacademie) symfoniczna kapela berlińska, dała w temże mieście koncert, na którym odegrano symfonją Joanna d'Arc, złożoną z czterech części, napisaną przez polaka M. Moszkowskiego. W symfonji tej młody artysta kompozytor okazał talent już rozwinięty, wielką znajomość instrumentacji i w ogóle traktował muzykę poważniejszą szczerzej, z ciepłem serdecznem. Pan Moszkowski spodziewany jest w Warszawie.

Podróże.

— Kapitan służby sygnałów atmosferycznych, Howgate, przedstawił kongresowi amerykańskiemu, plan nowej wyprawy podbiegunowej. Projekt ten opiera się na twierdzeniu, iż pod biegunem, pory roku, też same wywołują zmiany, co i w umiarkowanych strefach półkuli. Kapitan Hall, dowódca *Polarisa*, w r. 1871, dotarł do końca cieśniny Robensona i widział po za bryłami lodu, trzymającemi statek jego w uwięzi, wolne od lodów morze. Oficerowie „Polarisa“ morze to widzieli ze szczytu przylądka Newman. Gdyby statek ich przybył był o jedną godzinę wcześniej do cieśniny, to amerykanie drogę do bieguna mieliby przed sobą otwartą. Tam gdzie w r. 1871 otwarte widziano wody tam w r. 1875—6 znalazł kapitan Nares skorupę lodu, po której saniami nawet posuwać się nie było można. Howgate proponuje zbudować dom w miejscu, w którym zimowała Discovery, i osadzić w nim 20 marynarzy. Ludzie ci, zaopatrzeni byliby w żywność i wszelkie potrzeby na lat trzy i ruszyliby w dalszą podróż z chwilą, w której owe przez Halla widziane morze, lody by z siebie zrzuciło. Hall spędził lat 8 pomiędzy Eskimosami i zdrowie jego bynajmniej nie ucierpiało na tem. Wyprawa ta, twierdzi Howgate, nie więcej przedstawiałaby niebezpieczeństw, co pobyt sygnalistów na strażnicach Pikes-Peak'u lub Mount Waschingtonu.

Rolnictwo.

— W Würtembergu z powodu zniszczenia 230,902.000 sztuk owadów obrachowano, że gdy każdy chrabąszcz wydaje potomstwa (pędraków) około 20 a każdy pędrak podczas trzyletniego perjodu rozwoju swojego, zjada do dwóch funtów materji roślinnej (nie licząc w to, że pędrak więcej niszczy niż pożera substancji roślinnej), przeto potomstwo owych zniszczonych chrabąszczów byłoby pożarło 9,236,080.000 funtów materji rrślinnej. Koszta wytępienia owych owadów wynosiły 15,604 złr. Wartoby aby u nas korzystano z dobrego przykładu, do czego można użyć dzieci wiejskich, które zachęcone małem wynagrodzeniem, chętnie czynność podobną spełniać będą.

ROZMAITOŚCI.

— Prasa amerykańska przewyższa o wiele prasę europejską rozmiarami, liczbą czytelników i obfitością środków materjalnych. Budżet wydatków każdego wielkiego dziennika dochodzi tam do cyfr olbrzymich. Największym i najbogatszym dziennikiem jest „New-York Herald.“ Dziennik ten wychodzi w olbrzymim formacie a na złożenie jednego numeru potrzeba 849,550 czcionek drukarskich. Papieru wychodzi dziennie 11 tonn. Zecerzy zarabiają przy jednym numerze 600 dolarów. Telegramy w „New-York Heraldzie“ zajmują 96 łamów, a z tych połowa pochodzi z Europy, w każdym zaś takim telegramie podmorskim jedno słowo kosztuje 11 frankow, a więc do 6 złr. W Ameryce wychodzi 5,871 pism, które razem liczą 20,842,475 abonentow. Rocznie tłoczą maszyny półtora miliarda pojedynczych numerów. Na całej kuli ziemskiej bez Ameryki wychodzi 7,642 dzienników. Ameryka więc sama mało co mniej wydaje i czyta dzienników, niż cała reszta świata!

— Aleksander Dumas syn tak opisuje swój sposób pisania komedyj w jednym z listów do pewnego dziennikarza wiedeńskiego. „Przedewszystkiem przeznaczam dwadzieścia kartek na każdy akt sztuki i zawsze pisząc uważam wiele jest kartek zapisanych tak że gdy już widzę że niedługo papieru zabraknie mówię do siebie: mój chłopcze drogi musisz się śpieszyć i skończyć prędzej. Na ostatni akt który winien być najkrótszym pozostawiam tylko 17 stronnic i w ogóle uważam żeby żaden akt nie był dłuższy jak dwadzieścia stronic, ponieważ w przeznaczonym czasie publiczność więcej strawić nie może. Po ojcu moim odziedziczyłem instynkta dramatyczne, lecz w formie innej zupełnie. On, urodzony w epoce malowniczej i poetycznej był czystym idealistą, gdy tymczasem ja urodzony w epoce materjalizmu, stałem się realistą. Temata mego ojca opierały się na fantazji, moje na faktach; on pracował z zamkniętymi oczyma, odrywając się od świata i nie używał nigdy modelu do malowidła. Ja się obracam w towarzystwach, oglądam się na wszystkie strony, i gdy on szkicował sceny fantazyjne, ja fotografuję istotne wypadki.

— „Times“ otrzymał z Tyflisu w Armenji, wiadomość, że niedawno anglikowi, nazwiskiem Bryce, szczęśliwie powiodło się dotrzeć aż na szczyt góry Araratu, 17,212 stóp wysokiej. Ostatnie 4,000 stóp wspinać się musiał Bryce sam, ponieważ służący mu za przewodników kozacy, nie chcieli pod żadnym warunkiem towarzyszyć mu dalej. Wiedzieć bowiem trzeba, że Armeńczycy okoliczni, uważają górę Ararat, czyli raczej szczyt jej za niedostępny, dochowuje się nawet pomiędzy nimi podanie, że na tym szczycie dotychczas znajduje się jeszcze arka Noego. Błędnem jest zresztą mniemanie, jakoby nikt jeszcze nie zwiedził szczytu góry Araratu. Przed Brycem odbyto już sześć pomyślnych wypraw na ów szczyt, z których najważniejsza była pułkownika Chodźki przed rokiem 1860. Chodźko wziąwszy z sobą 60 kozaków, przepędził na szczycie Araratu cały tydzień i dokonał ścisłych pomiarów trygonometrycznych góry.

— Słynny pływacz amerykański Paweł Boyton, wykonał niedawno najznakomitszy popis na zatoce Neapolitańskiej. Odziany w kauczukowy przyrząd swego wynalazku, przepłynął on dnia 16 lutego, przestrzeń dzielącą wyspę Kaprerę od portu Neapolitańskiego, a wynoszącą 30 kilometrów, nie odpoczywszy ani na chwilę. Jest to odległość większa niż z Duwru do Calais. Kapitan Boyton puścił się na morze o godzinie trzeciej z rana, z zamiarem wylądowania w Neapolu o drugiej po południu, dotarł jednak do brzegu zaledwie o siódmej i trzydzieści pięć minut wieczorem, gdyż wiatr i prądy z któremi walczyć musiał, niosły go przez kilka godzin w niewłaściwym kierunku. Zrazu silny prąd pędził go ku Sorrento do miejsca, gdzie według Homera, Syreny wabiły Ulissesa; następnie gwałtowny wiatr popchnął go w stronę Ischia. Małe statki ozdobione chorągiewkami i mnóstwo łodzi z wywieszonemi na masztach barwami amerykańskiemi, towarzyszyły ciągle nieustraszonemu pływakowi w jego niebezpiecznej podróży, której przypatrywał się król Wiktor Emanuel i kilkutysięczna publiczność.

— Zużycie i zanieczyszczenie powietrza w mieszkaniach, w skutku sztucznego ich oświetlania, jest powszechnie wiadomem. Podobne zanieczyszczenie powstaje i wskutek oddychania ludzi lub zwierząt, bo też oddychanie, jest także rodzajem powolnego palenia się, kosztem tlenu powietrza. Do oświecania, używa się zazwyczaj świec, oleju, nafty i gazu świecącego. Otóż chodziło o to, który z tych materjałów najmniej, a który najwięcej zużywa, a tem samem zanieczyszcza powietrze. Powtóre, o ile podnosi się ciepło, przez ten proces chemiczny. Z doświadczeń robionych w tym celu w r. 1876 w laboratorjum w Giesen, okazało się, że na przestrzeni 10 metrów sześciennych, dostatecznie zabezpieczonej od wpływów zewnętrznych, oświeconej przez 8 godzin światłem 6ciu świec stearynowych, następnie światłem tejże samej mocy, otrzymanem od oleju, nafty, a wreszcie gazu, najwięcej zanieczyszczały powietrze świece stearynowe, potem olej, a następnie gaz i nafta. Ta ostatnia przeto okazała się najkorzystniejszą w tym celu, a najgorszemi świece. Co się zaś tyczy podniesienia temperatury, to idą po sobie te materjały w następnym porządku: gaz świecący najwięcej ogrzewał, mniej zaś olej i nafta, a najmniej świece. Przy paleniu tych przedmiotów, tworzy się jak wiadomo, głównie gaz, kwas węglany, a prócz tego woda i niektóre połączenia węgla, to jest te ostatnie, jako produkty niezupełnego spalenia się materjału, użytego do oświecenia. Nafta, po jej spaleniu w lampach dobrze urządzonych i ustawianych, najmniej, jak się ukazało z analizy chemicznej, wytwarzała gazu kwasu węglanego i innych produktów węgla, a najwięcej świece stearynowe. Podwyższenie znów temperatury w warstwach dalszych powietrza owego pokoju o 10 sześciennych metrach, sprawiały nafta, gaz i olej o 2 do 3° R., w warstwach zaś dolnych o 10 — 11°, kiedy świece stearynowe podwyższały temperaturę tylko o 4° R. w warstwach górnych powietrza.

— Orelian I. były król Araukanji i Patagonji umarł w tych dniach w szpitalu miejskim w Bordeaux. Właściwe nazwisko zmarłego było Antoni de Tonneins. Był on adwokatem w swojem rodzinnem mieście Périgneux. W roku 1835 udał się do Chili dla odebrania dość znacznej sumy, którą tamtejszy prezydent winien był jego rodzinie. Dłużnik zamiast kapitału ofiarował mu tron Araukanji, którym nawiasem mówiąc, nie miał żadnego prawa rozporządzać. P. ne Tonneins udał się na miejsce i zrazu o mało go nie zjedli przyszli jego poddani, ale ponieważ był zanadto szczupły, nim go dostatecznie wypaśli, tak umiał sobie ująć przedniejszych kacyków swojemi wiadomościami ze świata ucywilizowanego, że w końcu ogłosili go swoim królem. Po niejakim czasie jednak biały król nie bez trudu i niebezpieczeństwa zaledwie zdołał umknąć z pośród zbuntowanych kanibalów. Za powrotem do Francji zdetronizowany monarcha utrzymywał się jako tako ze sprzedaży orderu, który ustanowił w swojem królestwie, ale i to źródło przebrało się i szpital zakończył to awanturnicze życie.

— Obywatele Zjednoczonych Stanów Ameryki oryginalne imiona nadają dzieciom swym. Częstokroć konsolacje zamiast imion kalendarzowych noszą nazwiska ojców, przyjaciół rodziców, lub znakomitych mężów, wreszcie nazwy miast lub wiosek. W czasie ostatniej wojny domowej, obywatel jakiś Nowego-Yorku, synowi swemu, jako imię nadał nazwisko Agénor de Gasparin. W tych czasach, pod drzwiami pewnej ochrony znaleziono podrzuconą dziewczynkę z karteczką na szyi, na której stał napis: dziecku na imie „Stulecie,“ na nazwisko „76.“ Pewien ojciec rodziny, zamieszkujący w Bostonie, manię tę posunął dalej jeszcze, ostatnią bowiem swą, szóstą z kolei pociechę obdarzył znaczącem imieniem „Enough“ — co znaczy *dosyć*.

— Rodzaj mrówek Formica pratensis zajmuje się, według twierdzeń Hubera, którego opisy w kwestji mrówek zrobiły w świecie naukowym niepoślednie wrażenie ćwiczeniem gimnastycznem. Widział on naprzykład, jak mrówki te w piękny dzień letni, zgromadziwszy się na powierzchni gniazd, oddawały się z zamiłowaniem zabawom, którе Huber porównywa do uroczystych igrzysk, w pewnych okolicznościach przez ludzi tylko wyprawianych. Wznosiły się na tylnych nóżkach i chwytały się wspólnie to różkami, nóżkami, to szczękami, mocując się jedna z drugą; wszystko to jednakże w sposób jak najprzyjaźniejszy, bez cienia gniewu lub zawziętości. Potem zaprzestawały zapasów, puszczały się w zawody, goniły, chowały jedna przed drugą. Palmę zwycięztwa przyznawano tej, która po kolei każdą stawającą do walki daleko jak piłkę od siebie odrzucała i t. p. To podanie Hubera przyjęte zostało przez wszystkich prawie pisarzy zajmujących się popularyzowaniem nauki historji naturalnej, lubo większa część publiczności z niedowierzaniem takowe przyjmuje. „Ja także“ — powiada Forel, „pomimo całej drobiazgowej dokładności opisu tego uczonego w tej sprawie nie mogłem mu bezwarunkowo wierzyć, dopóki sam się o tem nie przekonałem.“ Pewna kolonja tych samych (pratensis) mrówek nastręczyła mu niebawem kilkakrotną sposobność do podziwiania ich szermierek gimnastycznych, jeżeli z należytą ostrożnością zbliżał się do miejsca, na którem się odbywały. Bawiące się chwytały się wzajemnie za nóżki, za szczęki, przewracając się po ziemi, jak to mają zwyczaj czynić igrające dzieci; ciągnęły się na wierzch otworów służących za wejście na kopułę gniazda, chowały się tam, aby znowu na zewnątrz się wydobyć itp. Wszystko to odbywało się bez gniewu, bez obrzucania się trującym jadem, widocznie szło tu o przyjacielską zabawę, o przyjemność wzajemnego mocowania się. Najmniejszy szelest wystarczał, aby mrówki, biorące udział w zabawie, znikały natychmiast do gniazda.

— W ostatnich czasach wyszło w Paryżu dzieło zawierające historję 2 pułku żuawów, najwaleczniejszego z całej armji francuskiej. Pułk ten został utworzony w r. 1852, a pierwszym jego komendantem był pułkownik Vinoy, obecnie jenerał i wielki kanclerz legji honorowej. Zaledwie podówczas zorganizował się jako tako, zaraz 2 bataljony z niego wysłano do Laghuat. Następnie przyszła kampanja krymska; Drugi pułk walczył w bitwie nad Almą, a dowódca jego, dzielny Cler, sam zatknął chorągiew francuską na wieży telegraficznej. W dalszym ciągu pułk ten brał udział w pamiętnej bitwie pod Magentą, gdzie sztandary jego udekorowane sztalą krzyżem legji honorowej. Później walczył w Meksyku i był przy wzięciu Puebli. W bitwie pod Fröschweiler, w ostatniej wojnie francusko pruskiej, pułk ten stracił 47 oficerów i 1088 żołnierzy; ocalone jego reztki biły się niemniej walecznie pod Sedanem, Coulmier i w innych miejscach. Słowem w ciągu 19 lat swojego istnienia stracił ten waleczny pułk nie mniej jak 200 oficerów i 5000 szeregowców.

Od Administracji.

Z tym numerem kończy się kwartał pierwszy, upraszamy przeto Szanownych prenumeratorów o wczesne odnowienie przedpłaty w celu uregulowania nakładu.

Prenumeratorów dzieł Jeża, którzy złożyli przedpłatę na tom 5 i dalsze, a którzyby życzyli przepisać tę przedpłatę na dalszą prenumeratę *Tygodnia*, upraszamy o zawiadomienie nas przed 1 kwietniem gdyż do tego czasu chcemy zupełnie uregulować tę sprawę z dawnem wydawnictwem.

Księgarnia Polska.

Sprostowanie. W artykule „Jubileusz Józefa Supińskiego“ opuszczono słów kilka, wskutek czego ustęp o Wołowskim i Cieszkowskim wypadł zupełnie mylnie. W pierwszej szpalcie. od wiersza 12go z dołu ma być: „Wołowskiego bowiem wszystkie dzieła ekonomiczne, a Cieszkowskiego jedyne (du crédit et de la circulation) pisane były po francusku.“

☛ Do tego numeru dołącza się **Prospekt na „Tydzień“.**

Treść Nr. 29.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcję Józef A. L. Laskownicki.